Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 14. Listopada 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 46.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Dokończenie.)

XX.

Zemsta.

Pan Maciej, pani Krystyna i Jurek powrócili na futor.

Że się tak pani Maciejowa, jak pani Janowa zdziwiły mocno, gdy ujrzały z powrotem młodą kobietę, było to rzeczą naturalną, jak również naturalną było rzeczą, że zdziwienie ich zmieniło się wnet we współczucie serdeczne, domyśliły się bowiem, żo ją nowy spotkał cios. Spółczucie się wzmogło, gdy jegomość opowiedział, jak się rzeczy miały.

— Biednaż ona... biedna... — powtarzały kobiety.

Stara pani Małuska ramionami wzruszyła i rzekła:

— Na świecie dzieje się rozmaicie... Bywają dzieci winne... bywają winni rodzice... a bywa i tak, że ani rodziców, ani dzieci obwiniać nie można.

Pani Krystyna natychmiast na drugi po powrocie swoim dzień zagaiła wobec rodziny całej rozmowę o położeniu swojem, wychodząc z punktu następującego:

— Spadłam na was ciężarem...

Zakrzyczeli ją wnet wszyscy, a raczej wszystkie, albowiem Jurek spojrzał jeno na nią, pan Jan chrząknął, a pan Maciej milczał. Gdy niewiasty zamilkły, ten ostatni głos zabrał:

— Jesteś dla nas tak, jakby nam w starości do dwojga dzieci, które nam Pan Bóg dał, przybyło trzecie, dorosłe... Tego trzeciego dziecka nie chodowaliśmy od maleńkości... oto różnica cała... Dla nas to wygodniej... — dodał wesoło.

— Jeżeli tak... — podchwyciła młoda kobieta — to niechże ja doprawdy wejdę do grona waszego, jako dziecko wasze...

— Nic temu na przeszkodzie nie stoi...

— Niech ja w pracach waszych udział biorę...

— I owszem... odrzekł jegomość. — Praca w smutkach i rozpaczy lekarstwem jest najlepszem i najpewniejszem... bez smutku zaś i rozpaczy jest ona matką cnoty...

W sposób ten wyraziło się i na tem się skończyło włączenie pani Łobodziny do łona rodziny Małuskich. Dla młodej kobiety rozpoczęło się życie nowe, któremu przyświecało poczuwanie się z jej strony do wdzięczności względem ludzi, którzy wyświadczyli jej dobrodziejstwo wielkie, a czynili to tak, że dobrodziejstwo nie ciążyło jej wcale. Podzielili się z nią wszystkiem, co do podziału było: dachem, strawą, uczuciem i pracą. Pani Łobodzina stanęła do roboty wraz z jejmościami młodszemi i z czeladzią. Wciągnęła się powoli, co jej z tem większą przyszło łatwością, że nowicjat odbywała porą zimową, kiedy gospodarstwo niewieście najmniej zajęcia daje. Nie leniła się. Chwytała się igły i kądzieli i miotły i ożoga — chodziła po wodę do strumienia, stawała do dojenia krów, robiła masło, odgrzewała ser, kurom jeść dawała, krupy podsiewała, jagły w stępach tłukła i żarna obracała. Spracowana zasiadała do jedzenia z apetytem dobrym i sypiała smacznie. Płeć jej na tem cierpiała, ręce prędko zgrubiały; lecz co tu traciła, to z procentem odbijała na zdrowiu duszy, tak, że mimo smutku, który jej nie opuszczał, czuła się swobodną tak prawie, jak w latach swoich dziecinnych. Ze swobody tej wyrodziła się w niej ufność. Przy pacierzu, rano i wieczór, gdy westchnęła do Stwórcy wszech rzeczy, to w westchnieniu tem była nadzieja.

Wiosny dla mieszkańców Pobereża nie miały w czasach owych tej ponętności, jaką odznaczają się obecnie. Gdy śniegi topnieć poczynały, wnet stawały im w myśli napady tatarskie. Ludzie przedsiębrali środki ostrożności: oglądali płoty, poprawiali wrota, urządzali wycieki i skrytki.

Wiosna 1675 oznajmiła się ordynansem królewskim, powołującym pod chorągwie wszystkich do chorągwi należących. Pan Jan i Jurek znajdowali się na urlopie, szykowali się przeto do wyruszenia z domu, jak tylko wody spłyną.

Wody spłynęły i rycerze nasi wyruszyli. Rodzina cała odprowadzała ich na skraj lasu. Nastąpiły pożegnania, łzy i błogosławieństwa. W gronie Małuskich znajdowała się i pani Krystyna, żegnająca pana Jana i Jurka, jak siostra braci.

Jest tu jedna do zaznaczenia osobliwość. Jurek nie żegnał jej, jak brat siostrę ale jak istotę, od której, jakby się przemocą odrywał. Rozstawać się z nią było mu nie tylko smutno i żal, ale i boleśnie. Chłopczysko się spłakał jak bóbr i po razy kilka od konia do ręki jej powracał. Wreszcie szarpnął się, na koń wskoczył, ostrogami go ścisnął i w czwał się oddalił.

Dla rodziny Małuskich rozpoczęły się zajęcia wiosenne: kopanie w ogrodzie: urządzanie grządek,etc., obsiewanie, sadzenie etc. Bohaterka nasza we wszystkiem udział brała i sprawy pracownicom innym

dotrzymywała. Szło jej dobrze. Z ufnością wzrastającą czekała na skutek obietnic królewskich i doczekała się, niestety! ciosu, który spadł na nią pod postacią listu od Myśliszewskiego.

Było to w maju. Pan Maciej znajdował się właśnie w pasiece, przy której, z powodu, że Sawa nie powrócił, postawił Ostapa i wtajemniczać go musiał w sposoby obchodzenia się z muchą, gdy przyszedł do niego znajomy jeden z futoru poblizkiego i przyniósł mu ustne od komendanta czeczelnickiego wezwanie, ażeby się w Czeczelniku stawił. Jegomość się udał tam na kłapouchej, powrócił i przywiózł list zapieczętowany. Adres brzmiał: »Wielmożnemu Imć Panu Maciejowi Małuskiemu, Wielmożnemu Panu a Dobrodziejowi, dla oddania do rąk własnych Imć Pani Krystynie z Łączyńskich Łobodzinie.« Starościanka, która w chwili tej w ogrodzie kopała, rozłamała pieczęć z pośpiechem gorączkowym, list oczami przebiegła, z rąk go wypuściła i rękami się za głowę uchwyciła, wydawszy z piersi jęknięcie głuche.

— Cóż mi pozostaje teraz!... — zawołała po chwili.

Jegomość, który stał obok niej i jejmość, co się nieopodal znajdowała, nic jej nie odpowiedzieli na to. Ona chwilę z załamanemi postała rękami; po chwili rydel, co z rąk jej wypadł, podjęła, głęboko westchnęła i do kopania się wzięła. Kopała i płakała; przestawała kopać chwilami, znów rozpoczynała.

Myśliszewski donosił, że poszukiwania jego były nadaremne a to dlatego, że, jak się zdaje, imć Prokop znajdował się w tej partji, która wymordowaną została. Pewności — dodawał — nie ma, jest jednak prawdopodobieństwo wielkie. W Krymie Łoboda się nie znajduje: gdzieżby znajdował się przeto?

Był to cios dla młodej kobiety straszny: była jednak przygotowaną do zniesienia onego. Hart znalazl się w pracy. Płakała lecz się nie łamała i pocieszań nie potrzebowała. Jakżeż by to inaczej się działo, gdyby panią była! Cios pośliznął się po niej jak miecz po pancerzu, zgrzytnął, ból sprawił, ale do żywego nie dogryzł. Mowy nawet o tem nie było. Jejmoście pogadały pomiędzy sobą, głowami pokiwały i milczały. Robocizny nie przerywały się ani na chwilę.

Rok ten przeszedł dla Pobereża ręką obronną. Ordy przeciągały, tak jak deszcze w kalendarzu berdyczowskim, stronami: szlakami Wołoskim i Czarnym, dążąc jedne na Ukrainę na pomoc Doroszence, drugie przez Bessarabię dla łączenia się z Szyszmanem paszą, prowadzącym siły ogromne. Szlak Kuczmański, idący środkiem pomiędzy Wołoskim a Czarnym, pozostał swobodny.

Jegomość żniwa się doczekał i odbywał je siłami całemi czeladzi swojej. Pani Krystyna żęła wraz ze wszystkimi i wywiązywała się z zadania tego cale dobrze, pomimo, że od początku samego przyłączyła się do onego trudność jedna ogromna. Padł popłoch na okolicę. Pokazał się zagon tatarski. Wypadła wię potrzeba odbywać żniwo nocami, we dnie zaś, skradanym sposobem, odnoszono snopy w las, następnie z lasu, snop po snopie, przenoszono je na futor. W sposób ten sprzątnięto z pola żyto, jęczmień i pszenicy trochę. Wozowica odbywała się na plecach. Nadszedł dalej sprzęt grochu, prosa i hreczki. Poszło to wszystko nad podziw pomyślnie, jak się rzadko kiedy trafiało — i jegomość, gdy już nic w polu na pniu nie pozostawało, w taki raz przy wieczerzy odezwał się sposób:

— Niech-że Bogu najwyższemu będą dzięki... Pokazuje się, że Krystyna szczęście nam przyniosła... Zbiór taki pomyślny pamiętam raz tylko: w tym roku, w którym Jurek na świat przyszedł...

— O!... — odezwała się pani Krystyna — gdybym wam szczęście utrzymać mogła, byłaby to dla mnie pociecha wielka...

Jegomość oborał się i obsiał. Przyszła jesień, nastąpiły przymrozki, rok miał się ku końcowi i wraz ze śniegami spadli jeden po drugim, Jurek i pan Jan.

O, mieliż rozpowiadać co!...

Rok ów upamiętnił się bitwą pode Lwowem i obroną Trembowli.

Pan Jan i Jurek zimowali i na wiosnę znów ruszać mieli. Szczęśliwe to były, zaiste, czasy! Zdaje się, że do owych to czasów odnosi się przysłowie: »Bodajby się wojenka na dębie święciła, a kto po nią polezie, bodaj kark złamał.»

Pani Krystyna zżyła się, zrosła niejako z rodziną Małuskich, zrosła się z nią tak, że ani poznać można było, iż ona kiedy pałacowe deptała posadzki. Przerobiła się na wiejską szlachcianeczkę, zjędrniała, a wyglądała jak śliczna dziewucha, tem zaś śliczniejsza, że otoczona obłokiem niby, smutkiem, który stroił ją w urok poetyczny. Nie można było napatrzeć się na nią. To też zapatrywał się na nią Jurek i był dla niej z attencją, przechodzącą granice zwykłej grzeczności, a nacechowaną obawą jakąś tak, że się ustawicznie wydawało, że ma jej coś do powiedzenia, a nie mówi, bo się boi.

Kobiety bywają domyślne. Przypuszczać wolno, że pani Krystyna domyślała się czegoś, zachowywała się bowiem względem młodego człowieka tak, żeby mu najmniejszej nie dawać otuchy; trzymała go w oddaleniu; nie mogła jednak, mieszkając pod dachem jednym w trzech izbach, oddalenia owego czynić tak wielkiem, ażeby z pod oczu mu zniknąć. Zresztą i potrzeby nie było. Ustawiczna obecność osób trzecich zastępowała oddalenie. Jurek oczami jeno poznawać dawał, że pani Krystyna jest wobec serca jego czemś więcej, aniżeli siostrą. Trwało to przez zimę całą i takby zapewne długo jeszcze, na zawsze pozostało, gdyby nie okoliczność jedna, niespodziana prawie, która odmienną rzeczom nadała postać. Nadeszła wiadomość, potwierdzająca śmierć Prokopa, w sposób autentyczny. Przywiózł ją pan Jan z Czeczelnika, znów pod postacią listu do pani Łobodziny, ale tym razem od ojca młodego Łobody. Stary, dowiedziawszy się, nie wiadomo jakim sposobem, o miejscu pobytu synowej, pisał do niej jako do wdowy i upraszał ją, ażeby przybyła do niego, celem pocieszania starości jego smutnej. Odumarła go żona, uskarżał się więc, że pozostaje na świecie sam, jak palec, że gdy umrze, nie będzie komu oczów mu zamknąć, że pozostała mu ona jedna, która, gdyby przybyła, uważałby ją nie jako synowę, ale jak córkę rodzoną.

Jurek jak chusta bladym się stał przy czytaniu listu tego. Coś pod nosem mruczał, lecz nic nie powiedział, ale gdy się ojciec pod szopę udał, on wyszedł za nim i tak mu wręcz wypalił:

— Wszystko to pięknie i dobrze, ale mi bez niej świat pustynią...

— No?... — zapytał jegomość.

— Ona odjedzie... a ja się chyba... powieszę!...

— Jeszcze czego nie stało!...

— Ano... tatku!... Mnie do niej coś tak... Mnie dla niej coś tego, że... nudzę jeno sam sobą i rady sobie dać nie mogę...

— Więc?... — zapytał stary, na koziołku siadając i w dłoń spluwając.

— Niechby ona nie odjeżdżała chyba...

— To od niej zależy samej...

— Ta że to tak... ale... gdyby ona wiedziała, że ja ją... tego tam... to by ona i została może...

— Pogadaj z nią...

— Małom nie ze sto razy pogadać chciał i gdybym jeno gębę raz odemknął, tobym już i gadał, ale odemknąć gęby... ani rusz...

— Cóż to... boisz się?...

— Ano... boję się... Boję się... bo gdyby mi odpaliła, to byłaby to dla mnie godzina ostatnia... Jabym... ja bym... trupem chyba padł od jej słówka jednego!...

— Uhm!... — mruknął jegomość i ręką machnął; po chwilce dodał: — Pogadaj-no z matką...

Jurek udał się do matki i przedstawił jej rzecz całą.

— Ja też coś po tobie miarkowała... — odrzekła pani Maciejowa.

— Ja nic sam nie miarkował po sobie — podchwycił Jurek — ale ono tak jakoś nie wiedzieć zkąd się wzięło, że ja nie wiem sam, co się ze mną stało... Od czasu, jak przeszłej wiosny do chorągwi poszedłem, ona, ta Krystyna, z głowy mi nie wychodziła... Dwa razy byłem tak naciśnięty, że... ot... zdawało się... koniec... i obydwa razy, inom ją wezwał, natychmiast się wyrąbałem... Toż to ja nie wiem, co to znaczy...

Pani Maciejowa słuchała syna z uśmiechem na ustach. Zdaje się, wiedziała ona, co to znaczy, nie tłumaczyła jednak znaczenia tego wpływu zagadkowego, jakie wywiera niewiasta nie inna, ale jedna pewna, jakby wybrana lub wyznaczona. Jurek przecie, wojaczką się bawiąc, widział przed oczami swemi przesuwające się kobiety w ilości niemalej. Do żołnierza kobieta lgnie — to rzecz doświadczona. I on się nie odwracał dawniej. Od chwili jednak, jak Krystyna mu się jawiła, cały świat dobra i piękna ześrodkował się dla niego w niej — w niej jednej. Stanęła przed nim, niby święta. Stał się względem niej niby wyznawcą kultu nowego. Dla-

tego też zapewne nie pojmował, co to znaczy.

— Jeżeli ona odjedzie... to... matko!... co ja pocznę?... Cóż ona na ten list od starego Łobody powiada?...

— Nie powiada jeszcze nic... Ale...

— Ale... co?...

— Jeżeliby odjeżdżać chciała, to...

— Ja oszaleję!... — przerwał Jurek. Matka ręką machnęła.

— Poczekaj jeno trochę... Będzie o liście tym mowa, to ja ją wyrozumiem...

— O, mamo!... I namówcie ją, niech nie jedzie... Niech nie będzie z tego nic, ale niech tylko ja wiem, że wyjeżdżając na wiosnę do chorągwi, ją zostawiam na futorze i że powracając do domu w jesieni, ją zastanę... Wiesz mamo... Oto w roku przeszłym, ponieważ pewny byłem, że ona na futorze, to wydawało mi się, jakby nad futorem czuwał anioł stróż, zabezpieczający was od głodu, ognia, moru i wojny...

— Tak bo i było, w rzeczy samej... — odparła matka. — Sam jegomość powiada, że ona nam szczęście wniosła... Nigdy nie mieliśmy ani spokoju takiego, ani w zasiekach zboża tyle...

— Otóż to... Jeżeli ona o tem będzie tylko wiedziała, to nie zechce nam krzywdy wyrządzić... Bo gdyby... Bo żeby... No!... — ręką machnął.

Snuło mu się po głowie: »gdyby Prokop żył.« Ponieważ jednak nie żył, więc nie uważał, ażeby warto było gadać o tem.

Pogadanie atoli z panią Krystyną w materji, którą przed ojcem i matką poruszył Jurek, stawało się rzeczą nieuchronną.

Stara pani Małuska, pani Maciejowa i pani Janowa naradzały się w mierze tej długo i wyczerpująco. Rozpatrywały rzecz ze stron wszystkich i rozważały ją gruntownie, biorąc za punkt wychodni nie to, co Jurek prawił o tem, ażeby ona z futoru nie odjeżdżała, ale wprost i wyraźnie, połączenie Jurka z nią węzłem małżeńskim. Na to zgadzały się wszystkie trzy, że ani trzeba, ani można szukać dla niego żony lepszej. Chodziło jeno o wymyślenie sposobu takiego, żeby sprawy nie popsuć.

Da narady przypuszczonym został pan Jan, ten atoli o mało niedorzeczności nie popełnił. Chciał brać na siebie rolę swata i ręczył z góry za skutek.

— Gdy jej powiem... — tu wąsy gładził. — Gdy jej oświadczę i przyświadczę, to ona nie jednę, ale obie ręce Jurkowi odda. Wolałaby może mnie... cóż jednak!... dla mnie klamka zapadła...

Ledwie nie ledwie uprosiły jejmoście, żeby się pan Jan nie mieszał do tego. Stanęło na tem, żeby na sposobność czekać.

Sposobność podała pani Krystyna sama.

Raz przy niedzieli, gdy dla topniejących śniegów z domu ruszyć się nie można było, zaczepiła pana Macieja o ów list od starego Łobody.

— Co jegomość myśli?...— zapytała.

— Hm!... — chrząknął stary. — Materja delikatna... Albo ja wiem, co myślić?... Przywiązaliśmy się do ciebie... Pokochaliśmy cię... no... i... hm?...

— Gdyby nam przyszło się rozstawać z tobą, to tak jak z córką rodzoną... — dodała pani Maciejowa.

Jurek słuchał, ni martwy, ni żywy.

— I jam was pokochała... — rzekła pani Krystyna.

Pan Jan chrząknął, jakby się odezwać zamierzał, lecz go staruszka uprzedziła:

— Imć Łoboda pisze, że sam, że mu smutno, że uważałby ciebie jak córkę własną... to pięknie... Ale, ani on nie zna ciebie, ani ty nie znasz jego... On pisze na oślep, ty byś na oślep jechała... Kto wie, co by wynikło z tego!... Ludzie są rozmaici... Nie chcę ubliżać imć panu Łobodzie, ale... możebyście się zgodzić nie mogli... może natura jego jest inną, twoja inną... możebyś mu zawadzała...

— Ja wam nie zawadzam?... — pół pytająco, pół twierdząco, odezwała się pani Krystyna.

— Moje dziecko!... — odpowiedzieli na to chórem protestującym staruszka, pan Maciej i pani Maciejowa... Ta ostatnia dodała po chwilce:

— Uważamy ciebie jak dziecko nasze rodzone... nie posiadamy jednak do ciebie, w obec Boga i ludzi, jak do córki naszej prawa... Ot... co tu gadać długo... daj nam to prawo!... a...

Jurek zbladł jak chusta.

— Daj nam to prawo!... — powtórzyła dobitnie pani Maciejowa — jeżeli nie czujesz wstrętu do... nas.

— Pani kochana... — odrzekła pani Krystyna.

— Domyślasz się o co chodzi?...

— Tak... — oczy spuściła — tak... tylko... — tu śmiało oczy podniosła — nie teraz... nie zaraz...

Jurek ręce wpół podniósł, gębę otworzył i pomimo, że cale przystojnym był młodzianem, nie powiemy jednak, ażeby w tej chwili pięknie wyglądał, ale za to jaśniał uradowaniem, jakby w niebo leciał.

— Nie teraz... nie zaraz... — mówiła pani Krystyna. Wierzcie mi jednak, państwo drodzy — tu powiodła po państwu Małuskich okiem — że pragnieniem mojem najgorętszem jest, módz się wywdzięczyć wam... Dajcie mi jeno czas uspokoić się wewnętrznie... — prosiła. Dwa lata, na przykład, różnicy nie stanowi... O dwa lata was proszę...

— Dwa lata... — podchwyciła staruszka. — Ja stojąc nad grobem, miałabym ochotę potargować się z tobą...

— Więc rok jeden... — przerwała pani Krystyna.

— Niech będzie rok... Chciałam jeno ot co powiedzieć tobie... Ja stara, to ja się nie liczę... ale mój Maciej i synowa moja nie są to ludzie dzisiejsi... Ja pójdę naprzód, oni za mną i tybyś się została i bezemnie i bez nich... Niewieście samej trudno na świecie... W Jurku będziesz miała sumiennego i uczciwego towarzysza i opiekuna...

Stara pani Małuska potrąciła dopiero strunę właściwą. Oddźwiękła też ona wnet głosem pełnym. Pani Krystyna oczy spuściła; pani Maciejowa i pani Janowa z podziękowaniem się do niej pogarnęły; panu Maciejowi łzy się w oczach zakręciły; pan Jan śpiewać począł pieśń jakąś stosowną. Jurek zaś, Jurek którego się to najbliżej tyczyło, najsilniej odczuł rezultat rozmowy, stał się bowiem jakby postrzelony. Skoczył najprzód ku pani Krystynie; wnet atoli odskoczył od niej, podbiegł do drzwi, ode drzwi zaś do okna; do drzwi jednak wrócił, próg przekroczył, na podwórko wypadł i tuż przed domem wyciął kozła jednego, wyciął kozła drugiego, trzeciego— kozłami do stajenki się dostał, przed drzwiami stanął i w boki się ujął. Psy, ujrzawszy go kozły wycinającego, ruszyły zgrają całą za nim i gdy stanął, obskoczyły go i na piersi mu się wspinać poczęły, łasząc się. Łaszenie się to w dziwnie rozrzewniający podziałało na niego sposób. Jął psy obejmować, całować i ściskać — ściskać tak szczerze, że te aż skowyczały i uciekać od niego poczęły. On w pogoń za niemi. Zrobiła się na podwórku za psami gonitwa. Aż psy pouciekały i pokryły się. Wówczas Jurek na wrotach się rozparł.

Co do pani Krystyny, ta z wielkim zachowywała się spokojem. Rozmowa o niej dokoła niej wrzała, ona milczała i ani zważała, że przyszły jej ze świetlicy się wydalił, ani wiedziała, na kim on się w uściski wprawia.

Sentymentalizm, zaprawny lekko obłudą, będący wyrobem edukacji, mającej uprawę imaginacji głównie na uwadze, byłby scenie tej inny nadał obrót. Byłyby na placu łzy, wykrzykniki i brzmiące frazesy, z którychby wkrótce kwiatem barwnym strzeliło poświęcenie. Pani Krystyna niegdyś kroczyła tą drogą. Sentymentalizm jednak w duszy jej spiłowała praca. Ta sprowadziła ją na drogę rzeczywistości, na której nieboszczyka swego kochała; wiedziała jednak, że to nieboszczyk, żal za którym nie powinien przeszkadzać jej w spełnianiu obowiązków życia, tak względem siebie samej, jak względem innych. Bez frazesów więc, bez wkrzykników i bez łez przyjęła sposób wywdzięczenia się ludziom zacnym, którzy jej wyświadczyli dobrego dużo. Był to sposób i delikatny i szlachetny — temu, zdaje się, nie zaprzeczy żaden chociażby jak surowy moralista.

Słuchała tedy ona gwaru rozmowy, która się około niej toczyła i milczała, gdy we drzwiach ukazał się Jurek, wołając z proga:

— Gościa prowadzę, tatku!... gościa!...

Zeszedł z progu, wnet na miejscu jego ukazał się człek stary o ponurem wejrzeniu, łachmanami okryty, z torbą przez plecy i z kijem w ręku.

— Pomahaj Bih!... — odezwał się.

— A!... — odpowiedziało razem głosów kilka, a jegomość dodał:

— Daj, Boże, zdorowla...

Wszyscy, z wyjątkiem pani Krystyny, która go nigdy w życiu nie widziała, poznali w przybyszu pasiecznika i wykrzyknik »a!« oznaczał zdziwienie, spowodowane niespodzianem pojawieniem się jego.

Starzec zeszedł z proga i wnet na

miejsce jego wysunął się inny człek, z długą brodą, również łachmanami okryty, z torbą przez plecy i z kijem w ręku. Tego nie znał nikt. Próg przestąpił, kroków parę zrobił, zatrzymał się, pokłonił i odezwał:

— Niech będzie pochwalony Jez... »us«, na ustach mu skonało.

Podniesiona niby siłą jakąś nadprzyrodzoną, z rozwartemi ramiony, z uniesieniem rozradowania na obliczu — zerwała się z miejsca i zleciała na niego pani Krystyna.

Przybyszowi nieznanemu kij wypadł z ręki. Żebrak i ona spletli się ramionami w uścisku wzajemnym.

W świetlicy zapanowało milczenie, śród którego słychać jeno było pocałunki, jakiemi żebrak okrywał lica, czoło i ręce pani Krystyny, i jakiemi pani Krystyna okrywała lica, czoło i ręce żebraka.

Jurek osłupiał; pan Jan oczy szeroko otworzył; jejmoście wpatrywały się z natężeniem; pan Maciej patrzał spokojnie.

Do tego ostatniego podszedł pasiecznik, palcem na parę w uścisku spojoną wskazał i rzekł:

— Oto zemsta moja, jegomość... Ledwom go odszukał, alem odszukał...

Pan Maciej głową skinął.

Odezwanie się pasiecznika rozbiło czar podziwu, w jaki rzucenie się pani Krystyny na nieznajomego przybysza wszystkich wprawiło. Rzecz naturalna: wszyscy domyślili się, że żebrak ten był nie kim innym, jeno Prokopem Łobodą. Wahali się jeno, czy się z przybycia jego cieszyć, czy smucić. Wahanie się atoli trwało chwilę. Gdy się małżeństwo z uścisków puściło, otoczyły ich wnet powitania i powinszowania, o ile serdeczne, o tyle szczere. W ciągu powitań pani Janowa męża łokciem trąciła i do ucha mu szepnęła:

— No proszę!... Bóg łaskaw... byłby się Jurek ożenił z cudzą żoną...

— Co ty wiesz!... — odburknął pan Jan.

Pani Łobodzina poprowadziła męża do skrzyni, co funkcję kanapy pełniła, posadziła go na takowej, sama obok usiadła, za rękę go trzymała, w oczy mu patrzyła i słodkiemi wyrazy do niego przemawiała.

Jurkowi było markotno. Inaczej być nie mogło. Stał też pod oknem — wreszcie prosto przez izbę przemaszerował, na podwórze wyszedł i na przeciwko wiatru stanął. Psy zbierały się do niego i łasiły się. Jeden na pierś mu się spiął, lecz on go tak nogą kopnął, że biedne psisko kozła wywróciło i skowycząc, uciekło. Wściekłość go opanowała. Począł za psami na podwórku uganiać i nogami je kopać.

Pasiecznik przez czas jakiś, nie długo jednak, patrzał na państwo Łobodostwo, głową w końcu pokiwał, ręką machnął i ku drzwiom się zwrócił.

— Dokąd-że to?... — posłał za nim pan Maciej zapytanie.

— Ta że do pasieki... Zobaczę, czy mucha syty nie potrzebuje...

— Patrzałem trzy dni temu...

— I cóż?...

— Zdaje się, że bez syty do kwiatu dotrzyma...

— A myszy nie zanęciły się do temnika?...

— Nie...

— To i dobrze...

Z tem słowem wyszedł. Na podwórku popatrzył na Jurka, na psach złość spędzającego i do pasieki przez górkę się udał.

Na futorze zajęto się najprzód goszczeniem Prokopa, następnie wyprawą młodej pary w podróż pod Starokonstantynów.

Odjechali, gdy droga przeschła.

Po odjeździe pani Krystyny, Jurek nie oszalał, ani o powieszeniu się nie myślał— powiadał, że dosyć mu, iż ona... szczęśliwa.

Mało brakło, a byłaby starościanka w dwóch żyjących ubrała się mężów. Udało się jej uniknąć tego, dzięki pasiecznikowi z Hrybek, który tak długo pasieki się trzymał, póki... nie umarł. Poprzedziła go do grobu stara pani Małuska, za nią poszedł syn, za synem synowa, za tą ostatnią kolejno postacie wszystkie, jakie w opowiadaniu niniejszem występowały, a kości których od dawien dawna z ziemią się zmięszały.

KONIEC.

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

(Ciąg dalszy.)

Powiedzieliśmy, że tu odmalowano cały nowy testament. A do tyla wyraziliśmy się niewłaściwie, że przedstawiono tu tylko trzy jego zwrotne punkta: narodzenie, mękę i zmartwychwstanie Zbawiciela.

Pierwszy z rzędu obraz będziemy oglądać w Antwerpskiej katedrze. Obraz wązki a wysoki, a widać w nim wcale nie Flamandzki krajobraz, ale krajobraz południowy. Wiek siedemnasty już nie był dość naiwnym, aby przedstawiać osoby pisma świętego w strojach średniowiecznych i wśród okolic europejskich. Wiedziano już, że się rzeczy owe na Wschodzie działy, i czyniono sumiennie zadość wymaganiom rozumu i pamięci malując klasyczne stroje i południowe krajobrazy.

Więc tu słońce wieczorne świeci i winograd pnie się po parkanach i drzewach. Czujesz syte ciepło południowego wieczora i oko twoje rade sytej barwie. W głębi stoi niewiasta jakaś, widziana z profilu, a z klasyczna przystrojona, której jasna szata i bursztynowa cera tak odbijają o wieczorne niebo, że myślałbyś, że ją Tycjan malował. Na jej głowie spoczął kosz z winogronami, i czujesz jakby smak winogradu, patrząc na to wszystko. Na pierwszym planie stara święta Elżbieta wita Matkę Boską przyodzianą w czerwoną szatę i w wielki czerwony kapelusz klasyczny, podobny do kapelusza kardynalskiego. Marja owa trzyma twoje oko w uwięzi. Cały obraz klasyczny i włoski, ona bardzo piękna, a jednak znać po niej, że tu malował Flamand. Jest to blondynka modrooka, o dobrej w sam raz tuszy, o cerze przezroczystej, białej i cudnych rumieńcach. Uśmiechnięta, zawstydzona. Twarz jej prawi ci o pełni soczystego życia, o zdrowiu co się bytem raduje. Choć kibić ciążą odmieniona, widać że ciąż wcale się nie dała w znaki. To tu tylko przyszłego życia rodzajna obietnica.

Wszystko tu piękne. Twarze piękne, barwy syte, a wśród barw, króluje strój czerwony, co występuje muzykalnie na tle wieczornego zielonawo-błękitnego nieba. Farby tu śpiewne jakby w Wenecji, ale — jednak — znać, że to się dzieje na ziemi, po której ludzie chodzą, choć boscy ludzie. Dzieje się to w danej chwili czasu, i ludzkie uczucia malują się na twarzach. Poznajesz je; witasz je. Matka ma w sobie skarb przyszłości, to co kochać będzie i oczekuje pierwsze dziecko — a to zawsze radość. Z prawa natury pragnie człowiek potomstwa, tak prawie jak zdrowia i życia — ciałem. To przedłużenie, to przechowanie własnej istoty i przekazanie jej przyszłości. Miłość matki to instynkt rozkoszny dany człowiekowi, odmienny od wszelkich innych uciech, a potrzebny dla zachowania rodzaju. Pragnienie tej miłości wrodzone, nadzieja jej szczęściem, gdy po raz pierwszy dnieje; a przyprawiona ona u człowieka, nadzieją wdzięku dzieci, i opiekuńczej ku nim miłości co się podniesie na namiestnika Twórcy. A nadzieja ta staje się cnotą, gdy z nią się miesza pamięć obowiązków matki. Bo myśl o obowiązku, to myśl o łączności ze światem — stałej i mężnej.

A u babki to całe oczekiwanie rzewniejsze, bo bliższe grobu i końca a w wielkiej części przeniesione na głowę młodej córki, a tu siostrzenicy, i uświęcone gotową już, dojrzałą, żyjącą miłością. I z tą miłością i z tem oczekiwaniem ty tu współczuwasz.

Na drugiem płótnie, już w muzeum, oczekiwanie spełnione, ale wśród dziwu i cudu.

Bo i cóż może być dziwniejszego nad to co tu widzimy? W stajence, wśród bydła, na żłobie nowonarodzone dzieciątko, z matką i starym piastunem; a w około stanął pstry orszak Wschodni; przenosi on cię w obce strony, między obce ludy. Tu Turek, w czerwonym kaftanie futrem okrytym, z kitą ogromną na dzikim turbanie, wojownik co marsa stroi, jakby wyszły z obrazu Matejki. Jaskrawą tworzy plamę, i skacze ci w oczy. Tam murzyn o wielkich kulczykach, strzeże białemi zębami. Oko jego lśni jak karbunkuł wśród czarnej twarzy z po pod białego zawoju. Tylko mędrzec czy król z Europy, jakiś mniej dziwny z łysiną swoją i strojem klasycznym. Są małpy i konie i wielbłądy, jest cały dziw Wschodu, pokarm dla łaknącej wyobraźni co chce raz już przecie widzieć nie europejskie, i nie klasyczne rzeczy, co chce widzieć jak to się ludzie ruszają w dziwnych strojach i dziwnem otoczeniu. Chodzi tu o to co Francuzi zowią: »*Couleur locale.*«

Odwróćmy oczy od tego jaskrawego widoku, a przejdźmy do dalszych sal muzeum by obaczyć to co jest może arcydziełem Rubensa. By zobaczyć radość i ziszczenie nadziei Marji. Jest tu Madonna z papugą, raz jeszcze owa *Madonna col bambino*, którąśmy widzieli tylekrotnie we Włoszech, w Wenecji, we Florencji i w Rzymie. Ale to tu już nie niebiańskie zjawienie, to prawdziwa matka co się swojem cieszy dzieckiem.

Ależ ona hoża, ależ ona piękna, w swoim sielskim stroju! Jakżeż jej się pierś wzdyma pod czerwonym stanikiem, jakżeż jej się włosy pięknie kręcą, jakiż rumieniec krasi jej lice uśmiechnięte! I tyś zdrów, patrząc na nią. A piękna ona piękna! pozazdrościłby jej Rubensowi i Włoch arcymistrz. Siedzi na murawie bawiąc się, a dziecko stoi przed nią, nagie, tłuściutkie, bujne, jak latorośl winna co nad głową jej się pnie, piękny jak pięknym być winien Bóg młody. Dziecko się śmieje, a ona palce wwikłała w złociste dziecka kędziory. Święty Józef z boku patrzy na to z ukosa, a pstra papuga nad głową dziecka wrzeszczy. Nigdzie po za murami tego muzeum nie masz tak pełnego życia, i twoje się życie tem życiem podwaja. Matka tu prawdziwie winną latoroślą, a dziecko jej gronem. Ale prócz radości zmysłów masz jeszcze radość inną. Współczuwasz z matką, a ona kocha dziecko oddane sobie, wzmożenie jej istoty. A ona się cieszy rozkosznie dziecka wdziękiem.

Biedna matka! Wracaj do katedry, a ujrzysz, co ją czeka!

Nigdzie może cielesna siła nie święciła takiej uczty, jak na podniesieniu krzyża. Białe ciało Chrystusa rozkrzyżowane, potężne, lśni śród ciemności, a kaci o muszkułach bajecznych podnoszą krzyż z ciałem za pomocą linw i gwałtownych poruszeń. Twarzy zbolałej i twarzy nielitościwych nie widać tu wcale, ale w ciałach jest wyraz i w nich kontrast występuje potężny. Tu, u katów, w półcieniu, kurczą się muszkuły, wystawiając potęgę fizycznej siły, co w wyprężeniu swojem aż tobie się udziela i przyspiesza krążenie krwi twojej; jakby ruch jakiś, jakby zdrowe wytężenie. Ale siła ta brutalna i po nad nią panuje, jakby jasny meteor, białe, lśniące, spokojne, boskie ciało Chrystusa. Męczone, śród nienawistnych, zwisło w spokoju i potędze.

A na skrzydłach tryptyku — bo tu masz tryptyk przed sobą — widać z jednej strony jeźdźca w pancerzu, co rozkazuje, a pod nim konia, co w grozie głowę odwraca; z drugiej strony kobiety, porwane niewysłowionem przerażeniem, bo między niemi zjawiły się niebo-szczyków upiory.

A znów w muzeum widzisz na niewielkim obrazie krajobraz płaski z miastem w oddali i chmurnem choć dziennem niebem, a wśród krajobrazu krzyż, a na krzyżu samotnie jaśniejącego Chrystusa. Potężny on, jakby grecki Zews i jakby meteor jaki zwisł samotnywśród przestrzeni. Muszkuły wszystkie drgają, cudne ciało widome z daleka, a oko szuka nieba, ale nie w słabej modlitwie, jedno w świadomości dobrowolnego poświęcenia, najwyższego szczytu miłości. Włosy płowe, złote prawie wzlatują w około głowy i wieńca cierniowego, niewiedzieć czy to ofiary, czy tryumfatory. Po postawie zjawiska samotnego a potężnego jakim jest ów rozkrzyżowany, widać, że ta śmierć, świat jemu do stóp powali — jako powaliła.

Gdzieindziej, na ogromnem płótnie, dojrzysz spełnione już dzieło łaski. Tu krzyż i ukrzyżowany stanął z profilu, a po prawicy i lewicy zwiśli łotrowie, jeden w rozpaczy, drugi bolejący, ale szlachetnie. Męczą się jeszcze obaj, żywi obaj i ból drga po ich ciałach; ale twoje oko spocznie na zsiniałym już ukrzyżowanym. Głowa jego spuszczona, ciało zwisło w śmierci piękne, pełne i spokojne. Tak umiera Sprawiedliwy. Barwa uszła, cudny kształt został.

Na prawym boku obrazu stanęła grupa bolejąca. Gdy krzyż podnoszono, cisnęli się wrogowie do krzyża, potem Chrystus jaśniał samotny wśród cichej, poetycznej przestrzeni, co milcząc oglądała go. Teraz już i przyjaciele zbliżyli się do umarłego. Poznasz Marją Magdalenę, w szacie żółtej, o pełnym, rozkosznym, klasycznym profilu i długich, falujących włosach, i Marją, i Jana, ukochanego ucznia. Marja, co niegdyś z lokami dzieciątka się pieściła, piękna zawsze, młoda jeszcze, ale bolem złamana. Nie masz tu krzyków nieprzystojnych, prostaczych, nie masz owej chorobliwej bladości Gwida — Reniego; — zdrowie trwa zawsze, piękność trwa zawsze — trwa godność i pokora — ale matka utulona w fioletową szatę, pochyliła się, załamawszy ręce, jak łodyga złamanego kwiatu. Przy niej Jan, w czerwonej szacie, szlocha, przycisnąwszy piękny profil do fałdów płaszcza. To strona boleści.

Ale z tamtej strony wprost Chrystusa stanęło dwu jeźdźców w klasycznych strojach rycerskich, na koniach rasowych, silnych i pięknych. Jeden się naigrawa, a drugi, śmielszy, dźwignął włócznię, i włócznią w bok Chrystusów ugodził, a z boku krew się sączy. Ale tu dramatu szczyt. Ów włócznik, ów setnik zajrzał w oczy Chrystusowe, w zamknięte powieki, i z tamtąd jakby cudownym grotem porażony. Ręką jeszcze grzeszną rani, twarz już zdziwiona, skruszona, pokutą zdjęta; już się przeraził setnik własnego czynu, już, już klęknie.

Przy śmierci ofiarnej i łotrów śmierci sprawiedliwej, przy żalu świętym, przy zatwardziałej złości zjawiła się skrucha. Dramat Golgoty spełniony; dobro i miłość nad złem zwycięża. Współczuwasz tu z boleścią, podziwiasz ofiarę, wreszcie wzdrygasz się przed złością, aż nakońcu radośnie witasz zwycięztwo dobra, promienny przewrót ludzkiej natury, objawienie miłości zrozumianej przez kata. Rubens to nie malarz tylko. to może jeszcze więcej, poeta. W jednym obrazie całe pokazał dzieje i na to pokazał brzydotę na chwilę, by nad nią mogło zwyciężyć piękno; pokazał występek, by nad nim wznieść piękność kruszącą poświęcenia.

A teraz cicho. Idźmy do katedry, i patrzmy jak już noc zapadła, jak po dramacie bolu, wstaje dramat drugi żalu i wspomnienia. Nigdzie może malarz nie odtworzył tyle różnych a świętych boleści jak na owem zdjęciu z krzyża, nigdy nie stanął tak blisko wieszcza co opowiada: Choć cicho i patrz się.

Jest noc. Barwy pełne ale nie jaskrawe występują z ciepłego tła wyraźniej jak w nocy rzeczywistej. Tak malować trzeba koniecznie gdy się wielką scenę jaką maluje wśród nocy. Ciemność tła winna być dekoracją tylko, i że tak powiem głównym tonem malowniczej gamy. Ciemność tła mówi: oto noc i nastrają umysł uroczyście i kościelnie, ale postacie muszą występywać wybitnie i barwnie, bo inaczej nie powstałby obraz bohaterski, jedno obraz rodzajowy, w którymby nie osoby, jeno rozrzucone światełka zwracały na siebie uwagę widza. Mylą się tedy ci, co czynią zarzut współczesnym polskim malarzom, gdy oni wyraźne postacie malują na nocnem tle.

Jest tedy noc, i postacie przyobleczone w uroczyście ubarwione szaty występują wyraźnie z poprzed czarnego tła. Krzyż ledwo widać, barwa zciemniała drzewa prawie się nie różni od barwy nocy. Ale wielka, biała masa przyćmienionego światła, szarego prawie napełnia środek płótna. Tworzą ją całun, i zsiniałe spadające ciało Chrystusa. U góry, nad krzyżem widać robotnika co wyjął gwoździe z ręki, tak, że ciało zwisło już tylko na lewicy — bo i nogi już wolne. Święty Jan w odzieży, której barwy zlewają się z nocą podtrzymuje ciało, a z drugiej strony Józef z Arimatei przystawia drabinę, by pozostały gwóźdź wydobyć. I barwy i linje ujęte w uroczysty, spokojny, falujący ład, a rytmiczne proporcje ciała wydają się piękne mimo śmierci wśród ciemności. Spokój tu widać wszędzie. Ofiara spełniona, bohater skonał, a przyjaciele ze czcią zdejmują ciało z rusztowania. Jeżeliś czytał kiedy Sofoklesa, Sofokles ci się przypomina, i Antygona i Ajant umarły. Ale tam była tylko cześć dla śmierci, tu widać ciche ubóstwienie doskonałego przyjaciela, i spełnionej świętej ofiary.

Piękne to, miłe, wyniośle patetyczne uczucie gdy się współczuwa z nadludzką cnotą poległego przyjaciela, gdy się czuje patrząc na umarłego, że umarł chlubnie, dając życie za miłość i prawdę, gdy się czuje radość ze zwycięstwa czegoś innego, jak osobiste szczęście jednostki, gdy się współczuwa z tryumfem ogólnej sprawy, obowiązku wszechludzkości, sprawiedliwości, uczucia wyższego, co w rzędzie uczuć duchownych tem, czem miłość dzieci wśród uczuć cielesnych. Drugie poczucie dane aby zachować rodzaj ludzki, pierwsze wyższe, jest to pojęcie, które strzeże całości wszechświata. Sprawiedliwości poczucie jest łącznikiem wszechludzkości; sprawiedliwość chce szczęścia wszystkich bez niczyjej krzywdy, a więc i bez niczyjego przywileju. Należy uczucie to raczej do dziedziny etyki niż estetyki, a wspomnieliśmy o niem tylko z konieczności, by stwierdzić, że jego zwycięztwo rodzi wyniosłe wzruszenie, uczucie blizkie grozy, a przeważające w dziełach poezji, tu wyjątkowo nadybione w obrazie.

Ale na dole inny się rozlega Patos. Tu klęczą trzy niewiasty: Marja, Salomea, i Marja Magdalena. Na Marji i Marji Magdalenie spocznie twoje oko. Marja w ciemno-szafirowej sukni, rozciąga ramiona by przyjąć ciało Chrystusowe; Magdalena zawsze w żółtym płaszczu, chwyta za nogi i nogi pocałuje. Matki miłość i teraz spokojna i godna, Magdaleny miłość upokarza się, podobnie jak miłość żony. Ona pyłem u stóp Chrystusa; dla niej teraz już wszystko skończone.

Poznajesz te uczucia, witasz je, a że one szlachetne i wzniośle miłośne, współczuwasz z niemi z rozkoszą. A podziwiasz malarza, nie za to, że barwami władał, lecz za to, że zrozumiał tak serce ludzkie, i świętą łączność rodziny, i świętą łączność ludzkości.

Jeszcze jest w muzeum mały obraz „le Christ de la paille“, w którem powtórzył Rubens te same uczucia mniej szczęśliwie. Widać tu Marję, Marję Magdalenę i Jana dokoła leżącego już na ziemi ciała Chrystusa. Ale dzieje owe postępują szybko i wnet ujrzymy, zawsze w Muzeum, Chrystusa w otchłani.

To obraz dziwny, który daje poznać inną stronę Rubensa. Nieda się zaprzeczyć podobieństwo Rubensa z Szekspirem. Obaj zrodzeni u wilgotnych wybrzeży morza północnego, z pokrewnych narodów, i o tej samej prawie porze, obaj odtwarzali różnym sposobem gammę uczuć ludzkich, abaj czasem dla siły i charakterystyki,

czasem nawet dla koniecznego efektu poświęcali dobry smak, przerywając śmiechem tok wyniosłej trajedji. I to się to właśnie w otchłani wydarzyło Piotrowi Pawłowi. Obraz ten niezawodnie należy do majestatycznego cyklu pasyjnego, ale nie harmonizuje z patosem obrazów poprzednich i następnych, przypomina rubaszną krew germańską i Quintina Matzisa, i podrażnia wreszcie do śmiechu, choć widz czuje, że ten śmiech świętokradztwem.

Nagi Chrystus, piękny, potężny, drgający siłą i życiem, stoi na obrazie jako zwycięzca już. Ogień u stóp jego się wije, ale ten ogień wobec niego niemocny, a On rękę podnosi zwiastując zwycięztwo. To wszystko piękne i godne tego malarza, co sam jeden zawsze szczęśliwie Chrystusa malował, co sam jeden zasługuje na nazwę malarza Chrystusów podobnie jak Rafael jest malarzem Madon. Ale czem-że są dziwadła klęczące przed Chrystusem; karykaturami czy nieudolnemi kreacjami? Uwzględniwszy potęgę malarza, musimy powiedzieć, że karykaturami. To jacyś zakonnicy i jakieś zakonnice, tłuści i pyzaci, co ze śmieszną ekstazą patrzą na swego wybawcę — całkiem do żab podobni. Budzą wzgardę, budzą niesmak tylko. I pocóż to? Czyż Flamandom tak o uśmiech chodziło, że się nie mogli obejść bez uśmiechu i paszkwilu, nawet wśród obrazów przedstawiających mękę, zmartwychwstanie tego, przed kim klęczała katolicka Flandrja?

Nie! może to co innego jest motorem tego obrazu i nnych podobnych kreacji Rubensa. Chodziło mu o to może, by duszy ludzkiej rozmaite uczucia odwiecznić, i na to by obraz był kompletnym, malował choć rzadziej obok dusz bohaterskich i „boskich“ w znaczeniu starogreckim, i boleść prostaków. I ztąd to powstali owi mnisi z otchłani, śmieszni w swojej bezmiernej a jednak rozczulającej radości, ztąd wziął się ów kapucyn w Liechtensteinskiej galerji w Wiedniu co u krzyża stanął, bijąc się w piersi co sił stanie, i krzycząc przy Chrystusie żywym jeszcze, i ów drugi kapucyn w wiedeńskim Belwederze co się zakrada do nagiej i tłustej nimfy w sposób mniej przystojny jak na duchowną osobę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAPONJA

przez

K. SKAŁKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

III.

Japońskie morze śródziemne. Kobe. Droga żelazna. Kijoto; wystawa przemysłowa, świątynie, pałac mikady. Religja: szynto, buddaizm, sijuto równające się sceptyzmowi. Osaka: prasa perjodyczna, mennica, forteca, armja, biurokratyzm.

Podróż morzem z Nagasaki do Tokaha jest bardzo przyjemną; wymaga ona całego tygodnia, a to z powodu, że parostatek dla zabrania ładunku herbaty, przez całe dwie doby zatrzymuje się w Kobe. Większa część drogi odbywa się po morzu wewnętrznem, poczem płynie się wzdłuż brzegów wyspy Gondo, należącej do najważniejszych z pomiędzy wysp archipelagu japońskiego. W naszych geograficznych podręcznikach niesłusznie wyspa Gondo nazwaną jest Niponem, ponieważ Nipon albo Daj-Nipon jest właśnie nazwą całego kraju Japonji, nie zaś jednej jego części. Kursujące pomiędzy wymienionemi miastami parostatki należą do towarzystwa „Micu-Biczy“ i niczem się nie różnią od amerykańskich.

Parostatek odpływa wieczorem tak, że archipelag otaczający Kijudiju przebywa się w nocy. Nad ranem, wśród lekkiej zasłony mglistej, podróżny spostrzega prześliczne brzegi cieśniny Simonosakskiej. Japońskie morze „wewnętrzne“ czyli śródziemne z jego cieśninami, szcherami*) i wyspami najlepiej można porównać z archipelagiem greckim. Powietrze wprawdzie nie jest tu tak przezroczyste, ale za to brzegi daleko piękniejsze; gołych skał greckich zupełnie tu nie ma. Wszystkie wyspy pokryte bujną roślinnością; niektóre lasami, a inne znów plantacjami ryżu, wznoszącemi się jedne po nad drugiemi w sposób tarasowy. Było dopiero w końcu maja, a już się rozpoczynały żniwa. Niektóre z wysp nie posiadają nic, oprócz pastwisk i jako takie, przeznaczone zostały do hodowli owiec, narzuconych rządowi przez kilku zbankrutowanych fermerów amerykańskich. Po gładkiej jak zwierciadło powierzchni morza szybuje mnóstwo rozmaitych okrętów i łodzi rybackich, o czworokątnym żaglu oryginalnie zszytym z kilku kawałków płótna i całej sieci lin splecionych z łyka, a nie grubszych od palca.

W miejscu, gdzie morze najbardziej się zwęża, góra zasłania ciaśninę i jadącemu zdaje się, że płynie po jeziorze. Na jednym z brzegów stoi miasto Simonosaki, do którego portu okręty cudzoziemskie nie mają prawa zawijać; parostatki z tego powodu zatrzymują się przed miastem tyle tylko, ile potrzeba czasu dla zabrania poczty rządowej. Z pozoru Simonosaki wygląda na dużą wieś; wybrzeże wyłożone płytami z kamienia, a co do domów, to te, jak wszędzie w Japonji, wyglądają jak domki dziecinne, których drzwi, składające się z kawałka materji, rozerzniętej na trzy części, z daleka wyglądają jak stare ubranie, rozwieszone dla przewietrzenia. W środku wybrzeża wznosi się wzgórze, a na niem bałwochwalcza świątynia; u brzegu stoi na kotwicy mnóstwo dżonek. Cała dokoła zatoka gęsto wsiami zasiana; w pobliżu jednej z nich, zwanej Mozi, zarzuciła kotwicę włoska fregata wojenna, niby to dla odpoczynku, a naprawdę w celu, którego łatwo się domyślić, ponieważ Simonosaki jest portem, do którego cudzoziemcy chcą się koniecznie dostać pod tym lub owym pretekstem, by módz handlować z wielce zasobną i bogatą prowincją Nagato.

Japońskie morze śródziemne zamknięte jest wyspami: Gondo, Kijusiju, Sikokiem i Awadzy. Posiada ono, oprócz simonowskiej, kilka innych, bardzo wązkich cieśnin, zwanych: Hoko-Sima, Kuru-Sima, Akaszy, przez co wydaje się jakby podzielone na kilka odrębnych mórz mniejszych, przyczem każde z nich posiada odrębną swą cudacką nazwę, trudną do spamiętania. Ciągłe te ciaśniny i zwężenia różne, wielce się przyczyniają do urozmaicenia widoku i podróżnemu się zdaje, że podróżuje wśród ślicznych żywych landszaftów; przyjemność tem większa, że, dzięki świeżo zbudowanym latarniom i rozmaitym znakom ostrzegającym, podróż stosunkowo jest dość bezpieczną. Szyper zresztą ani na chwilę nie schodzi z pomostu, pozostawiając tym sposobem kapitanowi dość czasu wolnego do podbijania serc pasażerek, według wszelkich prawideł taktyki morskiej.

Nie myślę tracić czasu na opisywanie tej taktyki eleganckiej, a tem mniej na opisywanie mnóstwa prześlicznych widoków; jest ich zanadto dużo, bym się na to porywał. Wolę przejść odrazu do opisania Kobe. Jest to mieścina europejska, świeżo powstała obok portu Chjogo, otwartego dla europejskich okrętów. Chjogo jest drugim z rzędu wielkim portem Japonji pod względem handlowym. Roczny obrót jego sięga już 60 miljonów franków; samej herbaty wywozi się z niego za trzydzieści kilka miljonów. Płynąc od morza, Chjogo pozostawia się po lewej ręce, a następnie, okrążywszy wydmę piaszczystą, na której się znajduje fabryka machin i stacja towarowa kolei żelaznej, spostrzega się w głębi niewielkiej półkólistej zatoki u podnóża gór, osadę, ciągnącą się wzdłaż czyściutkiego wesołego wybrzeża z pałacykami konsulów i zajezdnym domem „Chiogo - Hôtel“. Gospodarzem hotelu jest Włoch pewien, który był niegdyś kucharzem na jednym z rosyjskich kliperów wojennych, i jako taki bardzo jest uprzejmy dla Rosjan. Utrzymuje on dla nich umyślnie nawet przewodnika, mówiącego po rosyjsku, ale tylko z kiepska po węgiersku.

W chwili mego przybycia do Kobe, zawinął tam także wojenny rosyjski okręt „Dżygit“ pod flagą kontradmirala Sztakelberga; a że w porcie znajdowały się natenczas i innych państw admiralskie okręta, więc przez całe półtora godziny jedne salutowały drugie armatniemi wystrzałami. Bodaj czy podobne salutowania nie są jedynym namacalnym rezultatem krążenia krejserów po wodach dalekiego Wschodu!

Nieznośny trzask wystrzałów prawie nad samem uchem, a w dodatku silne kołysanie się parostatku z powodu wzburzonego morza, znagliły mię do jak najprędszego wylądowania. Pragnąłem co najśpieszniej skorzystać z dwudniowego przystanku, by módz dokładnie zwiedzić Osakę i Kijotę, dwa sąsiednie a bardzo wielkie miasta. Zwiedzanie ich dozwolonem jest tylko za paszportem. Jeszcze do niedawna należało udawać się po to aż do samego ministra spraw wewnętrznych, lecz od niejakiego czasu dość jest mieć poświadczenie konsula, by z wszelką łatwością uzyskać paszport od gubernatora. Spacer do ospałego konsula pruskiego, który i w Kobe jest zarazem konsulem rosyjskim, dał mi sposobność do rzucenia okiem po mieście. Miasteczko wcale nie wielkie, posiada doskonałe makadamy, magazynów i sklepów ilość znaczną, a jeszcze znaczniejszą amerykańskich barów, t. j. szynków, dalej centralny skwer, słowem, wszystkie dane europejskiego szyku, wraz z nieodłączną atmosferą nieskończonych nudów, otaczającą bez wyjątku wszystkie anglo-europejskie osady na dalekim Wschodzie. Po drodze zauważałem szyld z pompatycznym napisem: „Fryzjer profesor Da-Cuncha;“ czy rzeczywiście zacny ten portugalski jegomość był kiedy profesorem uniwersytetu, czy też tylko profesorem-mistrzem szlachetnej sztuki fryzjerskiej? — tego nie wiem. Wiem tylko tyle, że w Japonji mnóstwo jest takich, którym zawzięta Fortuna skręciła kark karjerze w kraju ojczystym, bardzo więc być może, że szanowny da-Cuncha, przybył do Kobe odbić na pomadzie

*) Grupy skał nizkich, wystających ponad powierzchnię morza.

i perukach to, co stracił na uniwersyteckiej profesurze!

Z Kobe do Kijoto — niewłaściwie nieraz zwanem przez niektórych geografów „Mijako“, bo „mijako“ oznacza stolicę, a Kijoto nie jest już stolicą — prowadzi droga żelazna długa na 65 kilometrów, która ukończoną została jeszcze w roku 1877, a następnie przedłużono ją aż do Osaki, i tym sposobem cała już wyspa Gondo w swem najmniej szerokim miejscu została koleją przecięta. Droga ta jest wązko-kolejową, wagony posiada trzechklasowe, różniące się tem tylko, że w wagonach trzeciej klasy ze strony wewnętrznej okna są przykryte żelazną lekką kratą, a to dla tego, że nieprzyzwyczajeni do szkła Japończycy, myśląc, że okna spuszczone, wysuwali głowy na zewnątrz i tłukli głowami szyby, przez co narażali na znaczne straty zarząd koleji, która i bez tego bajeczne sumy kosztowała, bo coś około 150.000 rubli za kilometr, t. j. prawie tyle ile kosztowała kolej moskiewsko-petersburska, która pod względem drogości pozostanie na wieki wieków jedyną koleją na całej kuli ziemskiej.

Wydatek ten okaże się tem bardziej zbytecznym i nieprodukcyjnym, że kolej biegnie po miejscowości gładkiej jak powierzchnia lodu i że Japonja wcale jeszcze nie potrzebuje dróg żelaznych. Należałoby nie o kolejach, lecz pomyśleć wprzód o zwykłych drogach wozowych, przez co położyłoby się koniec przewożeniu pasażerów, poczty i towarów ludźmi. Japończyków atoli za nadto cieszyło mieć u siebie kolej żelazną, by zdołali postąpić rozsądnie. Wszystkie posady techniczne zajmują wyłącznie sami cudzoziemcy, ale administracja za to, znajduje się cała w rękach krajowców; ciemnawego koloru Japończycy z lubością odcinają bilety z księgi po europejsku sznurowej, i nie z mniejszą lubością, prawie na każdej stacji, gorliwie je kontrolują. Aż do Osaki dworce kolejowe są murowane, ale dalej, widać, że już prochu zabrakło, pobudowano drewniane.

Ruch pasażerski dość znaczny, a to z powodu, że kolej przebiega po nader ludnej okolicy, a do tego bardzo żyznej; rola tam tak prawie uprawiona, jak w Europie bywają tylko ogrody. Zdaje mi się, że rolnicy nasi mogliby nauczyć się tu nie jednej rzeczy i nie jedno przejąć z korzyścią. Tak samo jak w Danji lub we Flandrji, ani jeden skrawek pola nie próżnuje w Japonji. Charakterystyczną cechą rolnictwa japońskiego są prawdziwe jeziora błota, które na każdym kroku spotykasz; pochodzą one z umyślnego, bardzo sztucznego nawadniania pól. Co Nil Egipcjanom daje darmo, to Japończyk zdobył sobie pracą i przemysłem. Korzystają z każdej najmniejszej pędzącej z gór rzeczki — i zaraz tamy i nawadnianie tworzą.

Okolice niektóre przypominają Europę: też same chatki z chrustu i gliny sklecone i ogródki przed niemi, i też same żórawie do czerpania wody ze studzień i też same woły siwe co na stepach Ukrainy widać; wnet jednak złudzenie niknie, bo oto już pociąg wpadł w gąszcz bambusowy. Bambusy japońskie bywają tak grube jak noga ludzka. Pomiędzy drzewami najwięcej morwowych; wyspa Gondo jest stolicą jedwabnictwa.

Do Osaki pociąg dociera w półtora godziny, do Kijoto w trzy. Kijoto — to Rzym japoński, miasto święte historycznych pomników i pamiątek odwiecznych. Należy jednak wiedzieć o tem naprzód, bo inaczej, przebiegając po jego ulicach wybornie szosowanych, wśród pudełkowych bez końca domków i przepysznych parków, podróżny się nie domyśli, że depcze tak szanowną ziemię. Miasto liczące półmiljona mieszkańców musi być wielkiem miastem; stoi ono na rozległej równinie przerzniętej szeroką choć małowodną rzeką Kamahawą, u stóp gór pokrytych zielonem runem bujnej roślinności. Nad brzegami Kamahawy mnóstwo herbaciarni, których „getcze“ na całą Japonję słyną z piękności i... surowych obyczajów — surowych, naturalnie, w japońskiem pojęciu o moralności. Niezwykle jest oryginalnym widok miasta wieczorem; jak okiem rzucisz, wszędzie przed herbaciarniami rozesłane dywaniki, a na nich, podłożywszy nogi, obiadują zwykli herbaciani goście, rozkoszując się wilgotnymi wyziewami rzeki i rojami komarów. Komary japońskie również niemiłosiernie brzęczą, jak gdzieindziej, a brzęczą w jednym i tem samym wszechświatowym swoim języku. Tysiące kolorowych latarni oświecają oryginalny ten widok.

Zajechałem do „Palace-Hôtel'u“, nieusprawiedliwiającego wcale gromkiej swej nazwy, lecz urządzonego za to zupełnie na sposób japoński, i zaraz rozpocząłem szereg ekskursyj po całem mieście nader ożywionem, jak to widać było z mnóstwa sklepów i mnóstwa rojących się przechodniów. Przewodnik mój nie byłby Japończykiem i sługą, gdyby nie rozpoczął od pokazania mi naprzód tego wszystkiego, co według zdania jego stawia Japonję z Europą na równi. Jest to najpierw uniwersytet podobny do koszar, a dalej ogromna rządowa przędzalnia jedwabiu, urządzona zupełnie po europejsku i pomieszczona w budynku, wystawionym również na sposób europejski. Dyrekcja fabryki wielce się zdumiała, gdym nie chciał zwiedzać tego, com już sto razy gdzieindziej widział. Chciałem też także wymówić się od zwiedzenia wystawy, lecz zaniechałem tego z powodu, że urządzoną jest ona w dawnym pałacu szogunów, zwanym Nidżo. Przyjmując złe i dobre od Europejczyków, Japończycy formalnie zarazili się manją wystaw, i nie ma już dziś mniej więcej znacznego miasta, by nie miało ono swojej wystawy. Widziałem już jedną taką w Nagasaki i nie znalazłem nic takiego, czegobym wprzód nie oglądał w oddziałach japońskich na wystawach europejskich. Prawda, jedną rzecz tylko znalazłem dotąd mi nieznaną; był nią szereg fotografij, przedstawiających nieposolite czyny armji japońskiej, bodaj czy nie z wojny domowej 1868 roku, w której złamano powstańców, przeciwnych nowozaprowadzanym porządkom. Nie będzie wkrótce ani jednego Japończyka, któryby nie miał jakiego medalu lub przynajmniej dyplomu z wystawy, a tymczasem sztuka japońska ciągle upada.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„OSIEŁ.“ *)

Ostatni poemat W. Hugo.

A więc faktycznie „Osieł“ *(l'Ane)*, nie „dusza“ *(l'Ame)* jest ostatniem dziecięciem natchnienia znakomitego poety Francji, Wiktora Hugo.

(*) Nie mając jeszcze we Lwowie tego poematu, a chcąc jak najprędzej zapoznać z nim czytelników, podajemy niniejszy o nim artykulik, za jednem z pism warszawskich.

Wprawdzie poemat ten powstać miał jeszcze przed laty dwudziestu, teraz jednak wygładzonym i przedmową opatrzonym został.

Bohaterem tego utworu jest pospolity *Asinus*, uosobienie cierpliwości, który prowadzi wielce uczoną rozprawę z niemieckim filozofem Emanuelem Kantem, w której na temat znanego monologu Fausta w pierwszej scenie goethowskiej tragedji, rozwodzi się nad znikomością wszelkiej nauki i wszelkich szkół, przyznając się, iż mu od zgłębiania rozmaitych teoryj „tylko uszy urosły...“

Osieł okazuje się tu bardzo ostrym i surowym krytykiem tak ludzi, jak i systematów, z nikogo i z niczego nie jest zadowolonym; przewertował filozofję, prawo, medycynę, niestety i teologję, i nauki przyrodnicze i matematyczne, a jednak jak był osłem, tak jest „osłem o przedłużonych uszach.“

Cały rezultat tej edukacji:

Un peu d'allongement à mes oreilles tristes.

Mimo to nie porzuca książek i studjów, bo na podobieństwo owego famulusa Fausta, Wagnera, wie wprawdzie dużo, lecz chciałby wszystko wiedzieć.

Czytałem wszystko, wszystkiego się uczyłem
I jestem większym osłem, niźli kiedy byłem.
Lecz będę jeszcze czytał i uczył się jeszcze!

Wszędzie, w każdej dziedzinie umiejętności i badań ducha ludzkiego, uczonego osła spotykają zawody, przekonywa się, że wszystko to jednej kwestji tylko ulega, a mianowicie czy w przyszłości: „pożywiają się tem szczury, czy robaki?“...

Cała mądrość ludzka pary oślich uszów nie warta; człowiek nic nie wie, niczego nie odgadł, niczego się nie dowiedział, żyje w więzieniu, którego bramy zamknięte a mury niedostępnie wysokie; wolno mu tylko przez dziurkę od klucza spojrzeć na zewnątrz, — klucz sam na wieki wieków gdzieś zagubiony.

Co pomogą te zgłębiania, domysły, zaciekania się w zagadkę wiecznej mądrości w podglądnięciu tajemnic samego Boga? — jaki cel tego wszystkiego, jeżeli nauka ta i badania nie poprawią człowieka?

Mniejsza z tem, jaka będzie szkoła i co nauczy, niech wychowa głupich, ślepych, głuchych, idjotów — byle tylko wychowała *dobrych;* takie jest zdanie i przekonanie hugonowskiego osła, który zaprzysięga je na zaszczyt, jaki mu Chrystus uczynił, dosiadając go w drodze do Jerozolimy.

Cóż-bo te zapylonych bibljotek całego świata szpargały mogą?—-lada Montaigne, lada Beaumarchais, lub drwiący dworak, jak Evremond, więcej zdziałali, niż cała książkowa mądrość.

Człowiek swoje łachmany pokrywa zwodniczą purpurą i zdaje mu się, iż jest czemś więcej, niż dzieckiem olbrzymów i małpic: *il est fils des géants mariés aux singesses.*

W piątym rozdziale *(conduite de l'homme vis-à-vis des enfants)* długouchy filozof występuje przeciw dzisiejszej pedagogji, która psuje dzieci i męczy je niepotrzebnie; w tej nauce dzieciom koszlawią się serca, karłowacieją umysły.

Alboż to naprawdę uczą czego w tych szkołach ludzkich? alboż to natura sama nie była, nie jest i nie będzie zawsze mamką, karmicielką, rodzicielką wszelkiego stworzenia?

Jak z dziećmi, tak i z genjuszami świat źle postępuje; chciałby ich według swojej miary i rutyny przykroić; Rubens dla niego zanadto „mięsisty“, Szekspir, ten Antychryst akademickiej *ars poetica* za swobodny, za wolny i za bujny w swojem tworzeniu.

Z innymi jeszcze gorzej postępują; niech się pojawi jaki genjusz, świecący jak pochodnia, ludzie krzyczą: „gwałtu“, jakby się obawiali pożaru.

Sokratesa ukrzyżowali, Dantego ogłosili kacerzem.

Biada genjuszom!...

O, człowiek — a nie osieł, powinien według wszelkiej sprawiedliwości nosić na głowie parę długich, siwych, wołochatych uszów! — bo człowiek jest i będzie zawsze miernością.

Kocha piękno o tyle, o ile ono jest pożyteczne, przekłada Rasyna „Athalię“ nad szekspirowskiego „Makbeta“, swoją dorożkę nad ognisty wóz Eljasza, ten dumny „dwunożnik“, który się mieni królem stworzenia, jest sobie tylko pospolitym... filistrem wszechświata.

Il se croit roi du globe, il en est le bourgeois!

Nie pomija hugonowski osieł stosunku człowieka do Boga i szatana, do całego społeczeństwa, do siebie samego.

Gorszy go to, że Boga człowiek tytułuje: *Seigneur*, djabła: *Sire;* jednemu mówi po prostu: „Panie“, drugiego nazywa: „Waszmość panem“.

W organizacji społeczeństw, systematów użyto jak najfałszywszych; pochodzenie— kieruje wszystkiem

Wobec siebie człowiek jest próżny, patrzy sam w siebie, jak w zwierciadło i uśmiecha się zadowolony.

Początkowe zgłoski wszystkich grzechów głównych. rozumie się po francusku tylko, dają to wielkie słowo: *sagesse* — mądrość!

A owa przechwalana filozofja ludzka polega jedynie na tem, aby się buntować, gdy należałoby rozważać, a rezygnować, gdy właściwie potrzebaby było pójść w zapasy.

Potrzeba prawdziwie cierpliwości niemieckiego filozofa, aby wysłuchać spokojnie tę całą oślą filippikę przeciw człowiekowi i znikomości tego świata, zakończoną wreszcie zdaniem, iż jedyną zasługą tu na ziemi jest: „być bogatym“....

Stulecie to zna tylko wartość złota; wobec tego kruszcu cnota i występek stają na równi.

Tu osieł zaczyna uczuwać współczucie dla losu człowieka, rozumie jego słabość i usprawiedliwia ją; niemoc i niezaradność ze wszech stron napierają, biedne dziecko „olbrzyma i małpicy“ nie wie zkąd przyszło, nie wie dokąd idzie.

Mnóstwo tajemnic go otacza; w każdym zapachu kwiatu, w lada skrzydełku motyla mieszczą się niezbadane dlań mysterja.

Na honor, nawet osłu sprzykrzyć się musi to wszystko!...

Kant do końca wszakże słucha i nie przykrzy mu się wcale a jak prawdziwy filozof nie dziwi się niczemu, co slyszy; wreszcie prawie przekonany, otwiera usta i odpowiada osłu:

„Tak, tak; nauka jest jeszcze niezdrową; dopiero z dniem, w kturym bezgraniczna miłość stanie się jej głównem przykazaniem; dopiero gdy poeci, myśliciele i ci wszyscy wielcy nauczyciele ludzkości otworzą ludziom oczy na światło; dopiero gdy wszystko, co czyste, piękne i wzniosłe, wolnem będzie od ucisku; gdy cnota, nadzieja i czystość zwyciężą a nauka i wyswobodzenie staną się synonymem, gdy duch ludzki lepszym, dusza ludzka szlachetniejszą będzie, gdy ziemia w raj się zmieni — wówczas dopiero osieł zostanie ze swemi zarzutami pobitym!

„Ale dopóki ludzie nauki ulegać będą narzuconym więzom uprzedzeń i skłonności, dopóki błędne doktryny i uzurpacje znajdą tanich pochlebców i sprzedajnych chwalców, dopóki inteligencja nie starczy za prawdziwą odwagę, dopóki myśliciele nie spełnią herkulesowych prac w służbie odwiecznej prawdy a badacze nie pozbędą się obłudy, dopóki jeszcze będzie podziwianym taki Bacon z kloaką w duszy a z spojrzeniem niebiańskiem, dopóki wreszcie ubóstwienie mammony urągać będzie ideałom — dopóty pomimo Aten, Rzymu, Genewy, Memfisu, Londynu, Paryża, Chaldei, Indyj, pomimo wszystkich praw i idei, zdania osła przeciw nauce i światłu niebieskiemu będą miały zupełną rację!“

Na tem kończy filozof niemiecki — ale poemat jeszcze nieskończony.

Do djalogu między osłem a autorem „Krytyki zdrowego rozsądku“ przyłącza się sam Wiktor Hugo z syntezą tezy pierwszego i antitezy drugiego.

Godzi on obu twierdząc, że owe pozorne kroki w tył — prowadzą także do celu.

Błękit eteru wyłania się z mgły ciemnej; nawet fałszywe nauki, nawet mętne teorje i złe czasy posuwają nas naprzód.

Słabostki, usterki, nieporozumienia — to wszystko tylko przejściowe, to minie i zmieni się; człowiek z występku robi cnotę, złe powoli przemienia się w dobre.

Byle nie rozpaczać i nie potępiać!...

Chaos to czarne jajo niebios; wszelka piękność najpierw ze szkaradnych rozwija się obsłonek.

Trzeba być cierpliwym wytrwałym i ufającym.

Oto jest w krótkości opowiedziana treść najnowszego poematu Wiktora Hugo i główniejszych myśli zawartych w tym oryginalnym djalogu francuskiego osła z niemieckim filozofem.

Często dałoby się do samego autora zastosować wykrzyknik, którym długouchy odzywa się do Kanta: „o! mój stary, frazes to wielkie szachrajstwo!“ ale bądź co bądź siwy entuzjasta, patetyczny wieszcz wolnej Francji, nie najgorszem dziełem obdarzył swą ojczystą literaturę, chociaż lat dwadzieścia trzymał je w ukryciu...

Je fais mon devoir de flambeau! „spełniam obowiązek pochodni“, odpowiada autor w szczytnym epigramacie na początku przyjaciołom swoim, którzy go proszą aby się szanował i zbytkiem pracy nie wyniszczał na starość.

Ostatnia książka Wiktora Hugo rozchodzi się w Paryżu bardzo szybko; nie dla samego dzieła, jego oryginalności i poetyckich zalet, rozkupuje tak bardzo nakład tego poematu francuska publiczność.

Jest w tem coś także z politycznej niechęci do narodu myślicieli; nie zapominajmy bowiem, że to *niemiecki filozof* zestawiony został *z osłem!...*

Jedno z pism berlińskich pociesza się dosyć złośliwie tą uwagą, że jeżeli w poemacie Wiktora Hugo osieł stanął naprzeciw Kanta, to „apostoł i prorok wolnej myśli“ od lat stu miał sposobność stawać już wobec... wielu osłów.

DZIWNA RZECZ!

«Jakto, kochany przyjacielu,
Stanęło wreszcie na tem,
Że serjo myślisz o weselu?
Chcesz abym był ci swatem?
Cóż znaczy to szaleństwo nowe,
Bo jak chcesz temu przecz,
Lecz żeś tak rychło stracił głowę,
Doprawdy, dziwna rzecz!

A ja mu na to: «Och! nie przeczę,
Że dopuszczenie nieba.
Weź ty mnie, bracie, w swoją pieczę,
Mnie trzeźwej rady trzeba.
Gdym zbłądził, gotuj napomnienie,
Gdym chory — ty mnie lecz;
Żem się zakochał tak szalenie,
Doprawdy, dziwna rzecz!«

Przyjaciel radził — ułożono,
Że gdy mię ślub przeraża,
To za mnie z moją narzeczoną
On pójdzie do ołtarza...
Po ślubie rzekł mi w latek parę:
«Nie cofnąć czasu wstecz,
Lecz, że Bóg karze za ofiarę,
Doprawdy, dziwna rzecz!

Czesław.

MAŁŻEŃSTWO Z MANCHESTER.

NOWELLA

KAROLA DICKENS'A

przekład z angielskiego.

przez

E. K.

(Dokończenie).

W tej chwili weszli do pokoju państwo Chadwick, a na twarzy obojgu odbijał się zły humor i jakieś zakłopotanie. Przez cały czas śniadania byli milczący i kwaśni. Skoro tylko śniadanie sprzątnięto i dzieci wyprowadzone zostały, zaczął pan Chadwick w sposób widocznie naprzód ułożony wypytywać swego siostrzeńca, czy jest pewny tego, że cała jego czeladź jest wierną i uczciwą; gdyż jego żonie zginęła bardzo kosztowna broszka, którą wczoraj nosiła i jak dobrze sobie przypomina schowała po powrocie z pałacu Bukinghama.

Twarz pana Openshaw głębokiemi pokrywała się zmarszczkami, wyglądała jak niegdyś, nim poznał swoją żonę i jej

dziecko. Zadzwonił zanim jeszcze wuj dokończył swą mowę.

Weszła pokojówka.

— Marjanno! czy był tu kto wczoraj wieczór w naszej nieobecności.

— Jakiś człowiek proszę pana, przychodził do Nory.

— Do Nory? Kto to był? Czy długo tu był?

— Nie mogę panu tego powiedzieć. Przyszedł, zdaje się około dziewiątej. Wyszłam na górę aby Norze o tem powiedzieć; ona zeszła, mówiła z nim i ona go wyprowadziła; ona musi wiedzieć, kto to był, i jak długo zabawił.

Marjanna zatrzymała się chwilkę spodziewając się powtórnego pytania; ale gdy to nie nastąpiło wyszła z pokoju.

Pan Openshaw wybierał się do wyjścia; żona zatrzymała go, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Nie mów z nią w obecności dzieci — rzekła swym łagodnym, pełnym głosem. — Pozwól, że sama pójdę i z nią pomówię.

— Nie, ja muszę się z nią rozmówić.

Trzeba wam wiedzieć, — dodał, pan Openshaw zwracając się do swoich krewnych, — że moja pani ma starą sługę, tak wierną jak tylko może nią być kobieta na świecie, ale przytem wszystkiem ta dobra osoba nie zawsze tak ściśle trzyma się prawdy jak moja pani przypuszcza. Sądzę, że ta nasza Nora dała się w pole wyprowadzić przez jakiegoś ladaco; ona jest w wieku, gdzie jak mówią kobiety tylko o męża się modlą. Dała się zwieść, wpuściła tego nicponia do domu, a on zagrabił broszkę i Bóg wie co jeszcze oprócz tego.

Norę o nic posądzać nie można, jak tylko o to, że ma bardzo miękkie serce i dosyć ograniczoną głowę. »Nie myślę o czem innem droga pani.«

Gdy pan Openshaw mówił do swej żony, głos jego, wzrok, cały wyraz twarzy był odmiennym. Lecz przy tem wszystkiem, zachował stanowczość swego charakteru. Ona wiedziała, że lepiej jest nie sprzeciwiać się jego zamiarom, poszła więc do dziecinnego pokoju i powiedziała Norze, że pan chce z nią mówić, sama zaś tymczasem popilnuje dzieci.

Nora wstała i wyszła, nie mówiąc ani słówka. Pomyślała sobie:

Niech mię w kawałki poszarpią, odemnie się nic nie dowiedzą. Może przyjdzie sam i wtenczas... Boże lituj się nad nami; wszyscy przy życiu zostać nie możemy. Lecz niech on sam to uczyni a nie ja.

Można sobie wyobrazić jak rezolutnie wyglądała, gdy ujrzała swego pana samego w jadalnym pokoju. Państwo Chadwick bowiem oddalili się zostawiając tę sprawę w rękach swego siostrzeńca, gdyż widzieli, że ostro do niej zabiera się.

— Noro! kto był ten człowiek, który tej nocy do mego domu przychodził.

— Jaki człowiek, panie? — zapytała Nora, niby bardzo zdziwiona; chodziło jej o zyskanie czasu.

— Człowiek, którego Marjanna wpuściła, do którego zeszłaś aby z nim mówić, którego prawdopodobnie zabrałaś z sobą do dziecinneego pokoju aby spokojniej pogawędzić, którego Lisia widziała, o którym potem śniło jej się, że się modlił, co pewnie mu nie przyszło do głowy; ten człowiek, który zagrabił broszkę pani Chadwick mającą wartość 10ciu funtów szterlingów. No, no, nie unoś się, jak z pewnością nazywam się Tomaszem Openshaw, tak jestem pewny, że ty nic nie wiesz o tej grabieży, ale sądzę, że dałaś się oszukać i w tem nie mylę się.

Jakiś nicpoń skorzystał z twojej łatwowierności i jak to często dzieje się u kobiet, serce twoje zmiękło dla niego. Przyszedł wczoraj wieczór do ciebie, udając kochanka, wybrał sobie czego potrzebował na drogę i nazawsze cię porzucił. Nie można ci tego za złe brać; spodziewam się tylko, że na przyszłość będziesz rozsądniejszą; ale teraz powiedz prawdę. Jakie ci podał nazwisko? jestem pewny, że nieprawdziwe, lecz może ono policję na ślad zaprowadzić.

Nora wyprostowała się.

— Możesz pan pytać ile ci się podoba; i drwić z mojej prostoty i mojej łatwowierności; ale do odpowiedzi nikt mnie nie zmusi. Co do broszki i całej tej historji o jakiejś grabieży, to powiem panu, że gdyby jaki przyjaciel był mnie odwiedził — czego nie możesz mi pan dowieść — byłby z pewnością tak mało zdolny do tych rzeczy, jak pan sam, panie Openshaw, a może nawet mniej, bo nie jestem pewna tego, czy wszystko co pan posiadasz, prawem do pana należy, lub długo należałoby do pana, gdyby każdemu zwróconem zostało to, do czego ma prawo.

Mówiąc to, Nora miała na myśli żonę pana Openshaw, on tymczasem wziął to za aluzję odnoszącą się do jego majątku.

— Powiem ci prawdę; od dawna tylko dla tego cierpiałem cię, że żona moja tak bardzo się do ciebie przywiązała i że mi się zdawało, iż nie jeden dobry przymiot posiadasz. Lecz jeśli zaczniesz być tak zuchwałą, oddam cię w ręce policji i przed sądem zmuszę cię do wyznania pwawdy. Pamiętaj więc o tem, że najlepiej będzie odrazu powiedzieć, kto był ten człowiek. Dziwna bo to rzecz! jakiś człowiek w nocy przychodzi do mego domu, pyta o ciebie; prowadzisz go na piętro, tam ginie broszka wielkiej wartości; wiemy, że ty i Marjanna i kucharka jesteście poczciwe; lecz ty nie chcesz powiedzieć kogo tu przyjmowałaś. Już cię złapałem na jednem kłamstwie, boś całkiem zaprzeczała, żeby ktokolwiek był do ciebie przychodził. Czy też wiesz co na to powie policjant i sędzia? — Sędzia znajdzie środki do zmuszenia cię abyś prawdę mówiła.

— Nie urodziła się ta istota, któraby mnie do tego zmusić zdołała, — rzekła Nora stanowczo.

— Chciałbym to zobaczyć — odparł pan Openshaw rozdrażniony tem odgrażaniem się; lecz po chwilce opanował się i zaczął na nowo z rozwagą.

— Noro, dla spokoju twej pani, nie chcę doprowadzać do ostateczności. Bądź rozsądną, dziewczyno. Nie wielka to rzecz, jeśli kto dał się oszukać. Pytam więc raz jeszcze jako przyjaciel: Kto był ten człowiek, którego wczoraj wieczór do mego domu wprowadziłaś?

Nora milczała.

Powtórzył swoje pytanie tonem co raz bardziej niecierpliwym.

Usta Nory zacięły się w milczeniu.

— Więc nie ma innego środka jak posłać po policję.

— Nie czyń tego, panie! — zawołała Nora, rzucając się do niego. — Nie możesz tego uczynić... To być nie może, żeby mnie policjant dotknął... Nie wiem nic o tej broszce; lecz wiem, że od mego dwudziestego roku więcej troszczyłam się o pańską żonę jak o samą siebie; odkąd ją poznałem biedną sierotą z łaski przyjętą do domu stryja, dla niej żyłam nie dla siebie; miałam staranie o niej i o jej dziecku tak jak nigdy nikt nie miał go o mnie...

— Nie chcę panu czynić wyrzutów; ale przecież to rzecz straszna, oddać komu całe swoje życie, a być na końcu prześladowaną i opuszczoną od niego... Czemuż nie przychodzi moja pani sama; nie oskarza mnie?... Może już poszła do policji?... Lecz ja nie będę tu czekać ani na policję, ani na sędzię, ni na kogokolwiek... Co za straszne przeznaczenie!... Na panu chyba jakieś przekleństwo cięży... Porzucę was... Tak, porzucam, nawet tę biedną Lisię... Pójdę... pójdę!... Nie będzie już szczęścia w tym domu!

Ta mowa, której pan Openshaw ani połowy zrozumieć nie mógł, w największe wprowadziła go zdumienie. Zanim zdołał rozważyć co powiedzieć lub uczynić, Nora wyszła z pokoju.

Pan Openshaw zapewne nie miał zamiaru użyć naprawdę środków, jakimi groził Norze, gdyż zanadto był przekonany o jej niewinności; lecz spodziewał się, że tym sposobem dowie się, kogo przyjmowała wczoraj w jego domu, co tymczasem nie udało się. Powrócił więc w największem rozdrażnieniu do swego wuja i oświadczył, że nie ma środka na to, aby od Nory dowiedzieć się, kto tu w nocy przychodził.

Wtem nadeszła jego żona; największy niepokój odbijał się na jej twarzy, gdy zapytała, co to ma znaczyć, że Nora z największym pośpiechem porwała swoje rzeczy i dom opuściła.

— To bardzo podejrzane — rzekł pan Chadwick. — Poczciwa osoba nie postępowałaby w taki sposób.

— Nie znasz Nory, wuju; ona porzuciła nas, gdyż do głębi czuje się dotkniętą podejrzeniem, które na nią rzucono. O! gdybym ją była widziała! gdybym była sama z nią pomówiła! Mnie by niezawodnie wszystko powiedziała.

Alicja załamała ręce.

— Przyznam się — rzekł pan Chadwick przytłumionym głosem do swego siostrzeńca — że ciebie nie pojmuję; zwykle u ciebie czyn natychmiast po słowie następuje, a często nawet wyprzedza je, te-

raz tymczasem, kiedy wszystko usprawiedliwia podejrzenie, zupełnie stajesz się bezczynnym. Twoja żona bardzo dobrą jest kobietą, nie zaprzeczam temu; ale można przypuścić, że nadużywano jej łatwowierności, przecież to nieraz się zdarza. Jeśli nie poszlesz po policję, sam poszlę.

— Dobrze, dobrze — odrzekł pan Openshaw posępnie. — Nie mogę Norę usprawiedliwić; nie chciała sama uniewinnić się, choć jestem pewny, że mogłaby to uczynić. Lecz ja odrazu umywam ręce od tej sprawy, gdyż jestem przekonany, że ona uczciwa, przytem tak długo zostaje już z moją żoną, że nie chcę na nią hańby ściągnąć.

— Przecież w ten sposób zostałaby zmuszoną do usprawiedliwienia się, a to na jej korzyść wyszłoby.

— Niech i tak będzie! dla mnie cała ta sprawa bardzo jest przykrą. Chodź, Alicjo, chodź do dzieci, muszą być bardzo zmartwione — a spojrzawszy na swoją żonę, która była blada i płakała, dodał: — Kupię mojej ciotce dziś jeszcze daleko piękniejszą broszkę, ale nie pozwolę na to, aby Norę podejrzywano i moją żonę męczono.

Potem wyszedł pan Openshaw z pokoju razem z żoną.

Gdy pan Chadwick był pewny, że już słowa jego nie dojdą do ucha jego siostrzeńca, rzekł do swej żony:

— Niech sobie Tomasz robi co chce, ja przecież będę się starać, aby wynaleźć kryjówkę tej dziewczyny. Ty nic nie potrzebujesz o tem wiedzieć.

Udał się w istocie do policji, a gdy zdał relację o całej sprawie, był bardzo zadowolony z wrażenia, jakie wywarło tam zachowanie się Nory, rzucające na nią całe podejrzenie. Wszyscy podzielali jego zdanie, i natychmiast wybierano się do uczynienia kroków potrzebnych do wynalezienia jej, przypuszczając, że się udała do człowieka, który niezawodnie był jej kochankiem.

Gdy pan Chadwick zapytał, jakim sposobem spodziewają się znaleźć ich — policjanci uśmiechali się tajemniczo, potrząsali głowami i zapewniali, że na to są środki i drogi nieomylne.

Powrócił więc pan Chadwick do domu swego siostrzeńca, bardzo zadowolony ze swego sprytu i dowcipu. Żona przyjęła go z miną pokutnicy.

— Ach, mężu! znalazłam moją broszkę; była przypięta do szala, w którym wczoraj wychodziłam; w wielkim pośpiechu powiesiłam go do szafy, na niego suknię, a broszka przyczepiła się do niego i była schowana w fałdach; chciałam go właśnie złożyć i znalazłam ją. Bardzo mi to przykro, byłam przekonana, że zginęła.

Mąż mruczał coś, co niebardzo pięknie brzmiało, kończąc temi słowy:

— Obym ci nigdy nie był darował tej broszki.

Potem porwał za kapelusz i z największym pośpiechem powrócił do policji, spodziewając się, że mu się jeszcze uda wstrzymać ją od uczynienia kroków dla odszukania Nory. Lecz policjant był już wyprawiony w tym celu.

Gdzie była Nora?

Na w pół obłąkana, pod wpływem strasznej tajemnicy prawie oka nie zmrużyła przez całą noc, rozmyślając nad tem, co powinna uczynić. Jej położenie stało się jeszcze więcej rozpaczliwem, gdy Lisia zaczęła opowiadać, że widziała człowieka, który był jej ojcem. Do tego wszystkiego spadło na nią jeszcze podejrzenie nieuczciwości. Była bliska szaleństwa, gdy pędem leciała ze schodów, porwała swój szal i kapelusz, a zostawiając resztę rzeczy, nawet sakiewkę z pieniędzmi w domu, opuściła go z silnem postanowieniem, że nigdy więcej do niego nie powróci. Nie chciała pożegnać się z dziećmi, gdyż obawiała się, że zmięknie, patrząc na nie. Przedewszystkiem budziła w niej obawę myśl, że Frank przyjdzie żądać swej żony. Chęć uniknienia tego, co się stać mogło, była głównym powodem jej ucieczki, lecz poniżające ją podejrzenie doprowadziło do wykonania zamiaru.

Z początku leciała na złamanie karku i głośno szlochała, od czego przez całą noc musiała się wstrzymywać z obawy, że ją kto posłyszy i o przyczynę smutku zapyta. Nagle stanęła. Wpadła na myśl opuszczenia Londynu i udania się do Liwerpolu, który był jej miastem rodzinnem. Zbliżając się w tym zamiarze do stacji Enston square, sięgała do kieszeni po pieniądze i spostrzegła, że nie wzięła ich z sobą. Z bolem głowy, z zaczerwienionemi i obrzmiałemi od płaczu oczyma, stanęła na miejscu i rozmyślała, o ile do tego była zdolną, dokąd się zwrócić. Odrazu przypomniała sobie, że miała odwiedzić biednego Franka. Była srogą dla niego przeszłej nocy, choć serce jej się krwawiło. Przypomniała sobie teraz, że wyprowadzając go, zapytała o jego adres; że jej nazwał jakiś hotel niedaleko Enston square. W tę stronę więc skierowała swe kroki, nie wiedząc właściwie, w jakim celu chciała się z nim widzieć, chodziło jej w tej chwili głównie o to, żeby sobie ulżyć przez okazanie mu współczucia.

W hotelu dowiedziała się, że w istocie zajechał do niego wczoraj człowiek, jakiego opisała; że zaraz po swem przybyciu oddalił się, zostawiając tam swoje rzeczy, lecz do tej pory nie powrócił.

Nora prosiła o pozwolenie zaczekania tu na niego.

Gospodyni, zabezpieczona przeciw wszelkiej szkodzie przez rzeczy podróżnego, które miała u siebie, wprowadziła ją do pokoju i zamknęła drzwi z zewnątrz.

Siły Nory tak już były wyczerpane, że wkrótce zasnęła. Sen jej był ciężkim, nieprzyjemnym, niespokojnym, ale trwał kilka godzin.

Tymczasem policjant spostrzegł i poznał Norę, zanim weszła do hotelu, za nią aż tam postąpił i prosił gospodyni, aby ją zatrzymała przez godzinę, nie tłumacząc się z tego inaczej, jak pokazaniem upoważnienia do aresztowania jej.

Gospodyni przyklaskiwała swemu pomysłowi, zamknięcia Nory w pokoju.

Roztropny ajent sprawiedliwości nie chciał aresztować od razu oskarzonej, ponieważ spodziewał się schwycić z nią razem człowieka podejrzanego, którego prawdopodobnie tu oczekiwała.

Lecz wkrótce dowiedział się, że broszka się znalazła; nie miał więc powodu powrócenia do hotelu.

Gdy już zmrok zapadał, Nora zbudziła się, słysząc jakiś szmer przed drzwiami. Musiał to być Frank. Odgarnęła sobie szybko, potargane siwe włosy z czoła i oczu i oczekiwała wejścia jego. Ale na jego miejscu wszedł pan Openshaw z policjantem.

— Oto jest Nora Kennedy — rzekł pan Openshaw.

— O, panie! — zawołala Nora — nie dotknęłam się tej broszki; wierzaj mi pan, że jej nie wzięłam... Panie! panie, nie mogę tego przeżyć, żeby mnie tak posądzano. Osłabiona, zmęczona cierpieniem, upadła na podłogę. Była tylko na wpół przytomna, jednakże uważała ze zdziwieniem, że pan Openshaw podnosił ją z tkliwością, a policjant pomagał mu ułożyć ją na sofie; potem pan Openshaw zażądał wina i sucharków i starał się posilić ją, gdyż uważał, że jest prawie omdlałą.

— Noro! — powiedział nareszcie łagodnym głosem — broszka się znalazła. Była przypięta do szala pani Chadwick. Przebacz mi, żem cię tem tak niepokoił, mojej żonie przytem o mało serce nie pękło.

Gdy Nora wypiła trochę wina, przyszła do siebie i przypomniała sobie gdzie się znajduje, kogo oczekuje. Odepchnęła więc z przestrachem pana Openshaw, mówiąc:

— Idź pan ztąd! — Pan nie możesz ani chwilki dłużej tu pozostać. Gdy on powróci, zabije pana.

— Nie wiem kto on jest, ale ktoś co ztąd wyszedł, niestety, już nigdy nie powróci, ktoś co ciebie zna, i co obawiam się jest ci drogi.

— Nierozumiem pana — odrzekła Nora więcej zadziwiona tkliwym i smutnym tonem jakim mówił do niej pan Openshaw niż tem co powiedział.

Na znak pana Openshaw, policjant wyszedł z pokoju.

— Jeśli mówię, że ten co wyszedł nie powróci — dodał poważnie pan Openshaw to chcę tem powiedzieć, że już nie żyje.

— Kto? — zapytała Nora cała drżąca.

— Znaleziono dziś rano jakiegoś biedaka w Tamizie.

— Czy sam się utopił ? — zapytała Nora uroczyście.

— Pan Bóg sam wie o tem; — odpowiedział pan Openshaw tym samym tonem.

— Twój adres znaleziono u niego w kieszeni, oprócz niego miał tylko sakiewkę przy sobie. Przykro mi, że ci to powiedzieć muszę, ale jesteś wezwaną, aby go zidentyfikować.

— Aby co zrobić?

— Aby powiedzieć kto on; trzeba wyjaśnić czy miał jaki powód do samo-

bójstwa. Ne mogę wątpić, że to ten sam człowiek, który przeszłej nocy odwiedził cię w naszym domu. Jest to bardzo smutnem.

Pan Openshaw zatrzymywal się za każdem najkrótszem zdaniem, aby mogła przyjść do siebie, gdyż zdawało się, że jej zagraża pomięszanie zmysłów, tak dziko i rozpaczliwie patrzała przed siebie.

— Panie Openshaw — odezwała się wreszcie — muszę panu powierzyć smutną tajemnicę. Lecz nigdy nie zdradź jej pan przed nikim, niech na zawsze będzie zachowana między nami. Myślałam, że uda się zachować ją tylko dla siebie, ale widzę, że to jest niemożliwem... Dowiedz się więc biedny panie Openshaw, że ten nieszczęśliwy człowiek, którego znaleziono nieżywego, jest pan Frank, pierwszy mąż twojej żony.

Pan Openshaw usiadł jakby porażony. Nie zdołał słówka wymówić; lecz po chwilce dał Norze znak, żeby dalej opowiadała.

— Przyszedł do mnie przeszłej nocy; podczas gdy, dzięki Bogu, nie było was w domu. Zapytał mnie, czy żona jego żyje. Zgłupiałam całkiem; myślałam więcej o tem, że moglibyście powrócić, niż o jego smutnej doli; powiedziałam mu od razu, że wyszła drugi raz za mąż, że jest bardzo zadowolona, szczęśliwa. Wyprowadziłam go; a teraz leży martwy i skostniały.

— Boże odpuść mi tę winę — zawołał pan Openshaw.

— Boże odpuść nam wszystkim! — dodała Nora. Pan może mniej od każdego z nas zawiniłeś, mój biedny panie.

On był po rozbiciu okrętu gdzieś między dzikimi — nie wiem gdzie i jak — ale pisał listy, które nigdy nie doszły rąk mej biednej pani.

— Czy widział swoje dziecko?

— Tak jest, widział ją. Zaprowadziłam go do niej, aby myśli jego rozerwać, bo zdawało się, że skona w mych rękach. Chciałam się tu z nim zobaczyć; obiecałam mu to. Przeczuwałam co się stało, gdy się dowiedziałam, że tu nie powrócił. O panie! to on! to pewnie on!

Pan Openshaw zadzwonił. Nora zanadto była pogrążona w smutku, aby zważać na to co czynił. Zażądał pióra, papieru i atramentu, napisał list; potem rzekł do Nory.

— Napisałem do Alicji, że koniecznie muszę się oddalić na kilka dni; że ciebie znalazłem; że się masz dobrze, zasyłasz jej pozdrowienie i powrócisz jutro do domu. Musisz pójść ze mną do policji, aby poznać tego nieszczęśliwego; zapłacę dobrze, aby nazwisko jego zamilczanem zostało.

— Dokąd udajesz się pan?

Nie odpowiedział od razu. Wreszcie rzekł:

— Noro, muszę pójść z tobą, i popatrzeć na człowieka, którego choć bezwiednie tak ciężko zraniłem; zdaje mi się, żem go zabił. Odprowadzę go do grobu jak rodzonego brata... Boże! jakżeż on musiał mnie znienawidzić. Nie mogę powrócić do mej żony, zanim wszystko uczynię, co jeszcze dla niego zrobić mogę. Potem powrócę z smutną tajemnicą w duszy. Po upływie tych dni nigdy więcej nie wspomnę o tem i wiem, że i ty milczeć będziesz. Podali sobie ręce; i nigdy więcej nie mówili o tem.

Nazajutrz powróciła Nora do Alicji.

Nikt ani słówkiem nie wspomniał o przyczynie jej nagłego opuszczenia domu. Pan Openshaw przestrzegł swą żonę, aby się wstrzymała od wszelkich pytań w tym względzie, a ona posłuszna zawsze tym, których kochała, tak z usposobienia jak i z przyzwyczajenia ściśle wypełniała czego żądał. Ale Norze od tej pory więcej jeszcze niż dotąd okazywał przywiązania i poszanowania, chciał jej bowiem nagrodzić to, co cierpiała przez niesprawiedliwe podejrzenie.

Nie pytała też Alicja męża o powód jego nieobecności podczas odwiedzin wujaszka i wujanki, gdyż raz powiedział, że było to koniecznem. On powrócił poważny i zamyślony; bardzo był od tej pory zmieniony. Więcej rozmyślał a mniej może był czynnym, był wprawdzie tak samo stanowczym w swem postępowaniu, ale więcej zastanawiającym się nad niem. Dla Lisi nie mógł być więcej czułym niż dotąd, ale zdawał się teraz uważać ją za świętą, której oprócz tkliwości należało się uwielbienie.

Interesa doskonale mu się powiodły, dorobił się wielkiego majątku i połowę zapisał na nią.

Po latach, kiedy Alicja już nie żyła, pojechała jej córka z ojcem (tak zawsze nazywała pana Openshaw) na cmentarz, znajdujący się dosyć daleko od miasta; gdy się do niego zbliżyli, wysiedli z powozu zostawiając przy nim dziewczynę, która pannie towarzyszyła i skierowali się do mogiły, na której kamienny pomnik miał nadpis krótki: F. W., przytem rok i dzień śmierci.

Usiadłszy przy tej mogile, opowiedział pan Openshaw Lisi smutną historję jej ojca i nad jego losem uronił jedyne łzy, jakie w jego oku ujrzała.

K O N I E C.

Przegląd literacki.

(O Panu Czorlińscim, co do Pucka po sece jachoł. Zełgoł dlo swojech druchow Kaszubściech Jarosz Derdowski. Toruń. Włosnosc Łgorza. Smara Jozwa Buszczyńskiego, drukorza w Toruniu. 1880).

Książeczka, której tytuł powyż przytoczyliśmy, ukazała się przed paru tygodniami i od razu zwróciła na siebie niezwykłą uwagę ogółu, na co też rzeczywiście zasługuje. I my chcemy o niej kilka słów powiedzieć, a że to rzecz po kaszubsku napisana, nie będzie od rzeczy, jeżeli odświeżymy sobie w umyśle choćby najogólniejsze wiadomości o ludzie kaszubskim, jego języku i literaturze.

Na południowym brzegu Bałtyckiego morza, w kilku powiatach Prus zachodnich i północnych kończynach sąsiedniego Pomorza, żyje ludek słowiański, zwany pospolicie Kaszubami. Nazwa ta nie przynależy jednak całemu ludowi kaszubskiemu: część ją tylko nosi, reszta dzieli się na Słowieńców, Kabatków, Borowiaków i t. d.

Przodkowie ludu tego, zwani ogólnie Pomorzanami, zajmowali niegdyś ziemie między dolną Łabą a dolną Wisłą położone. Kraj ten liczyłby przy dzisiejszym stanie zaludnienia do pięciu miljonów ludności, gdy zaś dziś Kaszubów obliczają najwięcej na 200.000 głów, możemy sobie łatwo wyrobić pojęcie o nieszczęśliwych losach narodu pomorskiego.

Część Pomorza, t. z. Pomorze wschodnie albo gdańskie, miała do r. 1295 swoich własnych książąt, z których ostatni, Mestwin II., niechcąc, aby kraj jego dostał się w ręce Niemców, zapisał go Przemysławowi, książęciu polskiemu. Rządy polskie nie trwają tu jednak długo, Przemysław kończy bowiem swój żywot śmiercią tragiczną już w następnym roku a spuścizna Świętopełka Wielkiego staje się łupem chytrych Krzyżaków i dopiero po półtorawiekowej niewoli dostaje się napowrót w ręce polskie, w których pozostaje aż do upadku Polski, a od tego czasu do dziś dnia pod panowaniem pruskiem.

Aż do przejścia pod panowanie Krzyżaków uważano Kaszubów, inaczej Pomorzan, za naród od Polaków odrębny, po półtora jednak wiekowej niewoli, gdy szlachta i duchowieństwo zniemczały niemal zupełnie, osłabli oni tak dalece, że o żywocie odrębnym, ani mowy być nie mogło. To też pod trzywiekowem panowaniem Polski nie dają Kaszubi żadnego prawie znaku życia, ani na polu polityki, ani literatury. Pojawia się wprawdzie kilka dziełek kaszubskich treści religijnej, ale o pisaniu po kaszubsku nikt jeszcze wtenczas na serjo nie myśli.

Dopiero w naszym wieku, wieku budzenia się narodowości, gdy poczęto zwracać większą uwagę na niższe warstwy społeczne, będące częstokroć jedynemi reprezentantkami całej przygniecionej narodowości, gdy z postępem lingwistyki zaprzestano wreszcie uważać język tych warstw za *lingua vulgaris* w średniowiecznem tego wyrazu rozumieniu, poczęto i na Kaszubach krzątać się około języka i piśmiennictwa kaszubskiego.

I tak najprzód *Celestyn Mrąga*, który się później przezwał Mrongoviusem, zajmuje się językiem kaszubskim, pisze jednak po polsku i po niemiecku. Nie długo potem (r. 1850), jakiś *Stanisłov*, o którym nic nam bliżej nie jest wiadomem, drukuje w Krakowie trzy swoje rozprawy w języku kaszubskim. Przed nim jeszcze zjawia się *Florjan Cenova*. Prawy ten Kaszuba, jeszcze jako student zbiera powieści, podania i pieśni ludu swego, pisze rozprawy o języku kaszubskim do „Slavische Jahrbücher“, wydaje humoreskę księdza Szmuka p. t. „Rozmova Polocha s Kaszebą“, pochodzącą z przeszłego jeszcze wieku. Zostawszy doktorem medycyny, nie ustaje on w pracy: sypią się książeczki przez lat parę jedna za drugą. Później wprawdzie, nie poparty z nikąd, zamilka na czas jakiś, przez ten czas jednak zbiera dalej rzeczy ludowe i w r. 1862. występuje znowu na widownię literacką.

Przez cały ten trzydziestoletni okres czasu (1850—1880) reprezentował kaszubską literaturę sam tylko Cenova. Nikt mu nie dopomagał, ba! w dziwnem jakiemś zaślepieniu potępiano go nawet. Za co?... Oto za to, że Kaszuba ośmielił się pisać po kaszubsku dla Kaszubów!

Ale oto zjawia się dla zacnego doktora

sukurs niespodziewany. Sukurs to znakomity, a o tyle większą mający wartość, że walką jeszcze nie zmęczony i zaopatrzony w broń nową, a odmienną od tej, jakiej dotychczas używał Cenova.

Tą nową bronią — poezja, której Kaszubom brakowało. A mają oni mnóstwo podań i powieści, mają cały swój odrębny świat mitologiczny, przechowuje się w ich tradycjach wiele wydarzeń historycznych — materjał ten surowy, czekał przecież długo na mistrza, któryby to wszystko powiązał w piękną całość.

Długo wyczekiwany Homer kaszubski, ukazał się wreszcie. Imię jego: Jarosz Derdowski.

Powiedzmyż teraz parę słów o jego utworze, który poprzedza dedykacja J. I. Kraszewskiemu. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia tutaj choć paru tego pięknego wiersza zwrotek, z których ostatnia tak trafnie nam maluje dążność nie tylko autora, ale i całego poczciwego ludu kaszubskiego. Oto są te zwrotki:

Be pokozac, że wos wożec
Wumią Bołteczanie,
Wasze jimię smiem położec
Na moje grezdanie.

Stare gware, stare godcie
E babście bojanie,
Wejle, co żem zebreł w zwrotcie,
Co Wąm daję Panie!

Czujce tu ze serca toni
Skłod nasz apostolści:
— Niema Kaszeb bez Polonii,
A bez Kaszeb Polści!

Wątpimy, by się znalazł choć jeden czytelnik „Pana Czorlińsciego“, któregoby już sam wstęp nie ujął dla całego poematu. Tego zaś treść jest następująca:

W Chmielnie, wielkiej wsi powiatu kartuskiego, mieszka sobie szlachcic kaszubski, Jan Czarliński. Jako szlachcic zagonowy, nie wiele się od swych sąsiadów chłopów różniący, trudni się rybołostwem. Przy nadchodzącej zimie, wybiera się on po sieci, na ryby do Pucka, tegoczesnej stolicy kaszubskiej, nie przeczuwając wcale losu, jaki mu nienawistne bogi zgotowały. Pożegnawszy się z swoją Penelopą i Telemakiem, wyrusza z domu, zaledwie jednak kawałek ujechał, przechodzi mu w poprzek drogę podżyła już sąsiada, co oczywiście poczytuje sobie Czarliński za złą wróżbę. I rzeczywiście bierze Smętek*) od tej chwili biednego szlachcica w swoję opiekę, zmuszając go mimo jego chęci do podróżowania po całych Kaszubach. Losy jednak, które Pan Czarliński siarczyście przeklina, my witamy z radością, bo składają się one na istną Odysseję Kaszubską.

Niepodobna nam postępować krok w krok za naszym Odysseusem, sprawozdanie to bowiem przybrałoby chyba rozmiary samego poematu, a pozbawionemby było najzupełniej jego wdzięków. Nie przytoczymy nawet ani jednego wiersza, ale odsyłamy czytelnika do samego poematu, sami zaś ograniczymy się na wypowiedzeniu o nim jedynie kilku ogólnych uwag.

Opowiadanie przygód pana Czarlińskiego możemy śmiało nazwać epopeją, choć brakuje mu niektórych warunków do osiągnięcia tego miana w całej pełni. Razi nas przedewszystkiem — i to w wysokim stopniu — wypowiadanie przekonań, niebędących wcale własnością ogółu, ale jedynie autora, wybijanie się zatem na wierzch niepotrzebnego tu wcale pierwiastku lirycznego. Natrafiamy dalej dosyć często na epizody, których związek z głównym wątkiem poematu jest aż nadto luźny, jeżeli już nie chcemy powiedzieć — nieistniejący.

Prócz tych wad, dotyczących „Pana Czorlińsciego“ jako epopei, musimy jeszcze inny ważny grzech autora podnieść, a to, że nie daje nam tyle, ile mógł był dać i dać był powinien. Z poematu o Panu Czarlińskim aż nadto przegląda bowiem talent poetycki, ale jakżeż on tam często zagwożdżony dążnością popularyzowania rzeczy choćby trochę dla ludu wiejskiego niezrozumiałych, malowaniem najtrywialniejszych scen, nienadających się tedy bynajmniej do obrazów poetycznych, pośpiechem wreszcie i zaniedbaniem formy! To też w „Panu Czorlińscim“ obok ustępów, którychby się ani Homer ani Mickiewicz nie powstydzili, znajdują się tak słabe, iż dla papieru, na którym spisane zostały, nie byłoby wcale żenującem towarzystwo masła lub pieprzu..

To są skutki pisania *dla ludu*, nie *dla narodu!* Ale metody tej pisarskiej — tuszymy sobie — pozbędzie się p. Derdowski w przyszłości zupełnie, jeżeli tylko chce, by talent jego się wzmagał, a nie utrzymywał na tej samej wysokości, jeźli nie niknął, przez zejście na fałszywe tory.

Wszystkie te wady maleją jednak wobec dodatnich stron leżącego przed nami poematu. Z wyjątkiem kilku ustępów, o których istnieniu wspomnieliśmy już poprzednio, jest epopeja p. Derdowskiego na wskróś narodową. Mają w niej Kaszubi zwierciadło, w którem znajdują najwierniejsze, może nawet zanadto wierne, odbicie, odfotografowanie niemal siebie samych i życia swego z różnych stron i w fazach różnych. A ileż tu podań i opowieści ludowych zostało w rymy ujętych, ile obyczajów i zwyczajow kaszubskich tak pięknie i zarazem dokładnie przedstawionych, że z tych stu kilkudziesięciu stronic o wiele lepiej poznajemy Kaszubów, niż z całych foliałów, rękoma etnografów skreślonych. Dodajmy do tego, że akcja już z samego założenia jest nadzwyczaj ożywioną, że poeta oprowadza nas wraz z Czarlińskim po całych Kaszubach, ukazuje nam, jakby w kalejdoskopie, jeden obraz za drugim, że przesuwają się przed naszymi oczyma wszystkie niemal typy, jakie tylko w krainie tej napotkać można, począwszy od szlachty i chłopów kaszubskich, a skończywszy na Niemcach i Żydach. Rodzimy przytem, oryginalny jakiś, czysto kaszubski dowcip, rozlany po wszystkich ustępach poematu, czyni opowiadanie przygód Pana Czarlińskiego tak zajmującem, że czyta się je z jednakową przyjemnością od początku aż do samego końca.

Na zakończenie niniejszego sprawozdania powiemy jeszcze parę słów o przyszłości literatury kaszubskiej, ile że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprawa ta stanie się wkrótce bardzo żywotną.

Otóż potępiając działalność dra Cenowy, tego zasłużonego pracownika na północnych kresach Słowiańszczyzny, przepowiadał ks. Malinowski w r. 1869 najzupełniejszy upadek kaszubskiego piśmiennictwa. Z jakiej racji zacny starzec przeciwny jest odrębności Kaszubów literackiej, nie wiemy, ale czy wobec tego, że Cenowa już po ogłoszeniu tego wyroku śmierci wydał kilka dziełek, a w papierach jego znajdujące się materjały do przyszłych publikacyj przewyższają kilkakroć objętością swą wszystko, co dotychczas w kaszubskim języku z druku wyszło, czy dalej wobec świeżo co ogłoszonego utworu p. Derdowskiego i na rozumnych podstawach opartego przewidywania, że za przykładem tych dwu mężów pójdą inni, powtórzyłby znakomity lingwista ale nieszczęśliwy wieszczek swe przepowiednie — wątpimy, sami zaś nietylko nadzieję, ale pewność mamy, że literatura kaszubska nie upadnie, bo ma racją bytu. Tem pewniej zaś to twierdzimy, ile że tak dr. Cenowa przyrzeka dalsze publikacje, jak niemniej przyobiecuje i p. Derdowski w liście do nas pisanym nie ustawać w swej poetyckiej między ludem kaszubskim działalności, »*bo sę mu wjedno jakies łgorście mesle po łbie wiją*«

Wzrostu literatury kaszubskiej nie powinni się Polacy bynajmniej obawiać, albowiem oderwanie się pod względem literackim w niczemby jeszcze nie naruszyło węzłów politycznych, jakie, pomimo upadku Polski, łączą Kaszubów z Polakami, a które wzmocnione są pokrewieństwem szczepowem, jednością wiary i walką z wspólnym nieprzyjacielem wszech Słowian. Leży nawet w interesie Polaków popieranie Kaszubów pod względem literackim, tak jak oni dzielnie popierają Polaków pod względem politycznym, o czem może później kiedyś więcej powiemy. Tymczasem przesyłamy jak najszczersze „szczęść Boże!“ zacnym usiłowaniom narodowym poczciwych Kaszubów.

Stefan Ramult.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Z powodu konfiskaty przedostatniego numeru „Tygodnia“, otrzymaliśmy następujący wyrok sądowy:

W imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. sąd krajowy dla spraw karnych, orzekł na mocy §. §. 489 i 493 sp. k. i §. 37 u. p., że treść artykułu umieszczonego w Nr. 44 czasopisma „Tydzień Polski“ z dnia 31. października 1880 pod napisem: „Kronika Tygodniowa“ w ustępach od słów: „Tak łącząc“ do słów: „niedostatku rodziny“,

zawiera znamiona występku z §. 305 u. k., zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. Prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma.

Wskutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnianie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody.

W inkryminowanym artykule, zachwala autor czynności przez ustawę zakazane, zawiera zatem artykuł ten znamiona z §. 305 u. k., czem uchwała powyższa usprawiedliwioną.

We Lwowie dnia 3. listopada 1880.

L. 16.249 *Liedl.*

* * *

---

*) Smętek, niegdyś bóg smutku, dzisiaj herszt djabłów.

Gdzie nadstawisz ucha — zewsząd tylko krwawe wypadki, na które zwróconą była uwaga publiczności lwowskiej. Znany powszechnie i szanowany Władysław Wróblewski, były właściciel Czortkowa, człowiek zacnego charakteru, dobry patrjota, położył swoją głowę w zeszłym tygodniu za sprawę, do której wszedł jak Piłat w Credo. Strata jego w sile wieku, liczył bowiem lat 42, dotknęła żywo wszystkich przyjaciół i znajomych, których miał wielu tutaj we Lwowie, sprowadzając zarazem smutne myśli nad tem, że też dotąd społeczeństwo cywilizowane i chrześciańskie nie może jeszcze pozbyć się ciążących nad niem praw tak zwanego honoru, które tak strasznemi ofiarami okupywać potrzeba. Szkoda człowieka zacnego!

Drugą głowę, wprawdzie już bez udziału tych praw podłożył pod koła lokomotywy, tutejszy kupiec pan W. A., którą jednak policja od zdruzgotania ocaliła. Za to mszcząc się zrozpaczony delikwent skaleczył ją później siekierą i to podobno dość ciężko.

Dalej w okolicy Zaleszczyk p. S. B. postrzelił przypadkowo na polowaniu pana B. S., a wreszcie dorożkarz lwowski przed teatrem skaleczył mocno znanego literata pana Czerwieńskiego.

Jak na jeden tydzień, przyznacie czytelnicy, dosyć było większych zamachów na głowy ludzkie, bo o małych, kończących się zwykle na guzach, kroniki miejscowe nie wspominają, choć musiały być, zważając na tę okoliczność, że przez kilka dni mieliśmy silne wichry jesienne, które jak podanie ludowe niesie zawsze sprowadzają nieszczęścia. Dałby Bóg, żeby tylko nasze głowy stanu jakiego szwanku nie odebrały wobec zbliżającej się kadencji Rady państwa, coś w rodzaju barona Hübnera, któremu się zdawało, że my tu w Galicji przyjmując cesarza, daliśmy poznać nasze intencje zbliżenia się do Rosji. Szczęściem, że p. Grocholski wyraźnie postarał się wybić te intencje nasze z głowy szanownego barona, a my ten wypadek zaliczamy jako piąty z kolei w tym tygodniu.

Faktem żywiej interesującym publiczność, nie mówiąc już o Banku krajów, który wciąż stoi na porządku dziennym i zawraca głowy finansowe — jest wieczorek muzykalny urządzony przez p. Ludwika Marka, który ma się odbyć w sobotę 13. listopada, na powiększenie funduszu wsparcia dla weteranów polskich z r. 1831. Sam cel już dostatecznym będzie bodźcem, licznego zgromadzenia się publiczności, tembardziej, że program jest świetny, a wykonanie jego, znając pana Marka, z pewnością nie przyniesie zawodu. Po tym pierwszym wieczorku, ma niebawem nastąpić drugi i więcej tego rodzaju koncertów, a że dyrekcja teatru obiecuje nam złożyć operę lepszą tej zimy niż lat innych, jest więc nadzieja, że długie wieczory zimowe nie będą płynąć nam zbyt nudno i monotonnie.

Ze wszystkich oznak i gorączkowego krzątania się różnych kół i kółek lwowskich, sezon zabaw i przyjemności zimowych, zapowiada się bardzo obiecująco. Największe koło, bo literackie, zaczyna dawać znaki żywszego rozwoju, wprowadzając na posiedzenia swe interesujący program. Kasyno artystyczno-literackie ma nadzieję 15. listopada zgromadzić parę set członków, kasyno mieszczańskie daje odczyty zajmujące, a gdy do tego dodamy uroczystość jubileuszową, w końcu listopada, to już do Nowego roku 1881 będzie czem zabawić i oko i ucho, a nawet zadowolnić potrzeby serca, oddając cześć ludziom, którzy z takiem poświęceniem nadstawiali pierś swoją dla miłości ojczyzny.

* * *

Kończąc w dzisiejszym numerze powieść „Z ciężkich dni", chcemy o niej pomówić słów kilka, a to z powodu, że autor jej, T. T. Jeż, należąc do najpierwszych powieściopisarzy polskich, nie jest u nas, w Galicji, sprawiedliwie oceniany. *)

Działalność Jeża jako pisarza, datuje się od r. 1856: lecz dopiero w kilkanaście lat później udział jego we wszystkich wydawnictwach polskich stał się bardzo czynnym, a obfitość prac różnorodnych trudnąby już dziś była do zapamiętania.

W wielkim szeregu powieści, opowiadań i obrazków, wyróżniają się artystycznem obrobieniem i siłą akcji: Szandor Kowacz, Handzia Zahornicka, Historja o prapradziadku... powieść z „Ciężkich dni", oprócz wielu mniejszych utworów, z których obrazki z południowej Słowiańszczyzny są prawdziwemi arcydziełami. Powiedzieliśmy, iż powieść „Z ciężkich dni" zaliczamy do najlepszych jego utworów. a pochwałę taką gruntujemy na zdaniu krytyki, oraz na sympatji czytelników, objawianej redakcji podczas drukowania utworu. W powieści tej pierwszy Jeż odmalował żywot futorów, pierwszy objaśnił, dlaczego ludność ukraińska się mnożyła, pomimo napadów i tępień tatarskich — powieścią przyczynił ważną kartę historji o ukraińskich tubylcach, kartę, jakiej dotychczas nie wypisali ani powieściopisarze, ani historycy. Znajomość historji, badania i intuicja złożyły się na wyprowadzenie prawdy z mglistości przedwiekowej. Nadto powieść ta, jest niejako zaprzeczeniem zdania, że Jeż każdą swą pracę naciąga do krańcowych teoryj, że podnosząc jedne stany, poniża inne, że skutkiem uprzedzeń jego tracą na artystycznej równości.

Z powieści „Z ciężkich dni" najbardziej uprzedzony takichby wniosków nie wyprowadził — wszystkie stany są tu przedstawione w właściwem świetle, prawda historyczna uszanowana, nie ma niechęci ani słabości krańcowych, a gdy przytem strona artystyczna jest w niej prześliczną, to bez przesady można powiedzieć, że powieść ta należy do niewielkiej liczby najznakomitszych, jakie się u nas w ostatnich czasach ukazały.

* * *

Jedno z wychodzących we Lwowie pisemek, a mianowicie „Strażnica" rozesłała przy ostatnim numerze prenumeratorom swoim następującą odezwę;

Od Redakcji:

„Z powodu choroby Redaktora wydawnictwo „Strażnicy i Sztandaru" doznało przerwy.

A drugą przyczynę i to najgłówniejszą czasowego zawieszenia wydawnictwa, spowodowała ta znaczna część P. P. Prenumeratorów, którzy pomimo wielokrotnych przypomnień i próźb ze strony Redakcji o wyrównanie zaległości, takowej dotąd nie uiścili.

Przypominamy, że przy końcu każdego kwartału żądaliśmy wyraźnie, aby każdy z PP. Prenumeratów, który nie życzy sobie pism naszych nadal odbierać, zwracał takowe z nadmienieniem: „nie przyjmuję"— kto zaś tego nie uczyni, uważamy jest i nadal za Prenumeratora.

Prenumerować, nie płacić regularnie i nie zwracać, jest to czemś takiem, o czem ucywilizowane kraje ani mają pojęcia. Niestety. u nas w Galicji postępowanie takie weszło w zwyczaj.

Gdy jednak pisma nasze oparte są jedynie na prenumeracie i jedyne w ziemiach polskich głoszące prawdę, byłoby obowiązkiem PP. Prenumeratorów uwzględnić trudności z jakiemi wydawnictwo walczy — podtrzymując takowe regularną spłatą.

Dotąd wynoszą zaległości ściśle obliczone 1200 złr., z których jako zupełnie przepadłych dla wydawnictwa uważamy 500. Pozostaje 700 do ściągnięcia. Otóż w imię uczciwości obywatelskiej, wzywamy wszystkich PP. Prenumeratorów, którzy dotąd nie poczuwali się do obowiązku — o wyrównanie długów, abyśmy mogli bez szkody tych, którzy przedpłatę wnieśli, dotrwać przynajmniej do końca r. b."...

Odezwę tę przytaczamy bez komentarzy — z tą jedynie wzmianką, że bądź co bądź — słuszności odmówić jej nie można, tem więcej, że podobne zaległości prenumeracyjne ma nie jedna redakcja „Strażnicy" — ale wszystkie redakcje pism naszych. Tego rodzaju lekceważenie smutnych naszych stosunków wydawniczych jest u nas ogólnem — czy godziwem? — rzecz inna.

TEATR.

Dnia 5. bm. wystawiono po raz pierwszy na naszej scenie nową czteroaktową komedję M. Bałuckiego p. t. „Sąsiedzi."

Ponieważ o rzeczonej komedji krążą bardzo rozmaite zdania i sądy, pozwalamy sobie *sine ira et studio* zapoznać czytelnika z jej treścią, markując zarazem jej niedostatki i zalety. Traść jest następująca: Obywatel wiejski Radoszewski (p. Zamojski), człek poczciwy jak to powiadają — z kościami, co chętnie zapomina o własnych potrzebach, byle usłużyć kochanym sąsiadom czy to kieszenią, czy sercem, zbałamucony przez Gębalińskiego (p. Tomaszewicz), zamierza ubiegać się o mandat poselski do Rady państwa. Pieczeniarz Gębaliński nie stawia kandydatury Radoszewskiego dla jakichkolwiek motywów zasadniczych co, mówiąc nawiasowo, wielce osłabia interes sztuki, gdyż wyklucza grę namiętności politycznych — ale dla prostej kontradykcji, gdyż nie życzy sobie wyboru czy to Radułowicza, obywatela exadwokata, czy to mało znanego w okolicy hrabiego z Zielonych Łączek (p. Lubicz). Radułowicza nie widzimy wcale na scenie, hrabiego wprowadza autor tylko epizodycznie.

Po dość rozwlekłej expozycji aktu pierwszego zaczyna się w następnych odgrywać zaściankowa kampania agitacyjna. Słuchacz, widząc już w pierwszym akcie nawiązane w tym kierunku przygotowania, śledzi z naprężoną uwagą, jak też autor poprowadzi dalej intrygę, do której obszerne otwiera mu się pole. Lecz na-

*) Najlepszym tego dowodem jest wyszły przed kilku dniami ostatni zeszyt Literatury p. A. Kuliczkowskiego, w którym p. K. mówiąc bardzo obszernie, w osobnych paragrafach, o kilku pisarzach wątpliwej wartości — Jeżowi poświęca ledwie kilkanaście wierszy, drobnym drukiem, w przypiskach, jako wzmiankę, że taki autor istnieje. (P. R.)

gle spctyka nas tu małe rozczarowanie; spodziewanej intrygi, mimo nagromadzonego w expozycji materjału, nigdzie dopatrzyć się nie można a motyw psychiczny, jedynie zdolny do stworzenia uzasadnionej kolizji, został zastąpiony o wiele popularniejszym, ale zużytym i zanadto farsowatym motywem natury gastronomicznej. Nie zasady więc, nie różne zapatrywania, a choćby nawet urojenia kontrkandydatów lub jakiekolwiek inne, głębiej pomyślane względy, ale ich kucharze mają rozstrzygnąć batalję wyborczą, bo już w drugim akcie widoczna, że z urny wyjdzie ten, kto „kochanych sąsiadów“ lepiej ugości lub zręczniej weźmie ich na „plewy.“ Tak więc rzekomo fraternizujący a poza oczy natrząsający się z „głupiej“ szlachty hrabia ma niezawodne szanse wyboru, mimo to jednak nie zostaje wybranym ani on, ani Radułowicz. Dlaczego? Czy może dzięki rączką niewieścią zręcznie usnutej intrydze? Nie wiadomo; gdyż właśnie dla braku wszelkiej intrygi, komedja nie daje nam na to odpowiedzi.

O ile brak intrygi w każdej sztuce a zatem i w powyższej znacznym jest niedostatkiem, to można go przecież w pewnej części powetować wdzięcznym rysunkiem charakterów. Przypatrzmyż się zatem jeszcze z tej strony komedji p. Bałuckiego.

Przyznajemy najchętniej, że autor wprowadził na scenę wiele bardzo dobrych typów, dopuścił się jednak równocześnie tego błędu, że na tle dzisiejszych stosunków przedstawia nam wcale nie dzisiejszych ludzi. Szlaczta p. Bałuckiego są to postaci jakby żywcem przeniesione z „Kollokacji“ lub „Parafiańszczyzny,“ istoty w dzisiejszych naszych stosunkach nie mające już najmniejszej racji bytu. Przypatrzmy się tylko owym „sąsiadom“ Radoszewskiego, są to sami pieniacze, karciarze lub idioci, nie mający wyobrażenia ani o parlamentaryzmie, ba, ani nawet o przyzwoitych formach towarzyskich. Sądzimy, że autor pzecież na serjo nie podziela takich zapatrywań, bo gdyby nasza szlachta miała być w istocie taką, jaką on ją nam przedstawił, przyszłoby chyba zrozpaczyć. Sam nawet bohater Radoszewski, który przy pomocy łaskawych sąsiadów, przejadł, przepił i przetrwonił całą szlachecką fortunkę, doprowadziwszy aż do fantowania, razi, mimo całej swej poczciwości — niedołęztwem.

Prócz Protasiewicza, człowieka o nieco szlachetniejszych wyobrażeniach ale stojącego natomiast gdzieś na ostatnim planie, dodatnim charakterem jest tylko Adam Wilski (p. Woleński). Ale niestety, ów historyczny w nowszych naszych komedjach inżynier z Paryża, mający nas reformować, jest już dziś figurą bardzo zużytą i szablonową. Nie lepiej przedstawiają nam się kobiety. Stasią (p. Woleńska) córką Radoszewskiego, która w końcu oddaje rękę Wilskiemu, autor zajmuje się bardzo mało, nie jest ona wcale figurą działającą, ale manekinem do zaokrąglenia całości. Całkiem zbyteczne i jeszcze lekkomyślniej traktowane są Tęgasińska i obie siostry Gębalińskie; takie egzemplarzyki rzadko już dziś spotkać można nawet na najodleglejszych plebanjach niełacińskiego obrządku, a nie dopiero w dworach szlacheckich. Bezwątpienia najlepszą postacią w całej komedji jest siostra Radoszewskiego, *hic mulier*, ciotka Petronela, którą to rolę wybornie oddała p. Aszpergerowa. Rozglądnąwszy się tak pomiędzy głównemi osobami komedji, każdy bezstronny przyzna, że autor albo nie zna dzisiejszej szlachty, albo — co prawdopodobniejsza — tendencyjnie ją skarykaturował, celem osiągnięcia taniego efektu.

Jeszcze ztąd jednakże nie wynika, aby powyższa komedja nie miała wielu zalet, owszem są tam wyborne typy, ale same dla siebie a nie jako integralne części dość słabej całości; jest wcale pokaźny i obfity materjał do stworzenia nie tylko farsy lecz nawet dobrej komedji, jednakże pod warunkiem, że autor zdecydowałby się stanąć na wysokości naszych rzeczywistych stosunków i umiał utrzymać właściwy ton komedji społecznej. W tej zaś formie, w jakiej nam się sztuka „Sąsiedzi“ przedstawiła, nie jest ona komedją, bo nie stoi na odnośnej wyżynie i nie jest wysnuta z istotnego życia—nie jest farsą, bo zasadniczy jej ton zanadto smętny, ale natomiast jest ona, *con amore* kreślonym, złośliwym, jaskrawemi barwami nałożonym obrazkiem społecznym, któryby znalazł bez porównania odpowiedniejsze miejsce w satyrycznej powiastce, niżeli na scenie, tem bardziej, że brak mu wielu warunków scenicznych. Na scenie robi ta sztuka przykre wrażenie w parterze, a wręcz szkodliwą wydaje nam się w sferach galerji, która nie umie rozróżnić przesadnych akcesoriów satyry od istotnego stanu rzeczy. *Caveant consules!*

Co do gry artystów wzmiankowaliśmy już o pani Aszpergerowej; nieporównanym także był pan Zamojski, szczególnie w końcowej scenie aktu pierwszego. Pan Tomaszewicz trzymał się dobrze, pominąwszy niektóre zbyt kaznodziejskie ruchy rąk, zwracanych dłońmi ku publiczności i ustawiczne prawie tremolando w głosie; dobrze wywiązali się także ze swych ról pp. Woleńscy i p. Lubicz. Co do p. Woleńskiej zauważalibyśmy dwie usterki, stające się już prawie manierą a zwłaszcza całkiem z naturą sprzeczne w scenach tkliwych modulowanie głosu, nabierającego wówczas niemiłego głuchego tonu z gardła, i owe rzekomo naiwne podskoki z miejsca w chwili rozpoczęcia ruchu, które niezawsze osiągają pożądany efekt. Panna Sułkowska robiła karykaturalne wrażenie łamiąc ustawicznie naturalną linię ciała przesadnymi ruchami, które miały być parodją dobrego tonu, lecz rozminęły się tak dalece z celem, że zamiast komicznego wrażenia wywoływały niesmak. Dziwimy się bardzo, czemu p. Sułkowska nie kopiowała pani Kwiecińskiej, występującej obok niej w analogicznej roli, a która umiała zachować należytą w tej sytuacji miarę.

Najniefortunniejszemi postaciami w całem przedstawieniu byli wszyscy szanowni sąsiedzi. Zamiast ratować oględną charakterystyką i stosowną grą już przez samego autora zbyt drastycznie rysowane figury, wypaczono je najokropniej. Zamiast zdrowych, rumianych szlachciców o jako-tako inteligentnych, bodaj odziedziczonych rysach i uczciwie odzianych, ujrzeliśmy na scenie fizjognomie niemożliwe w porządnem towarzystwie, w stajennej garderobie bez względu na to, iż rzecz dzieje się w domu, gdzie są kobiety. Panowie ci, zdaje się, nie wyobrażają sobie szlachcica bez palonych butów. Zamiast owej lekkomyślności, która skłania czasem szlachcica, że zbyt mało liczy się z kieliszkami, zamiast owego znudzenia ciągnącego mimowiednie do zielonego stolika, ujrzeliśmy nieludzką prawie żarłoczność i afektowany zapał karciarski. I to miała być szlachta polska z roku pańskiego 1880! Pan Dębicki posunął nawet swoją szlachecką naiwność tak daleko, że na recepcji u hrabiego w trzecim akcie, pojawia się w brązowym fraku ze złotymi guzikami. Cóż reżyserja powiada na to? Przyjęcie sztuki było wogóle dość chłodne; wystawa staranna, pominąwszy w czwartym akcie komiczne, iście prażnikowe przystrojenie ścian pokoju festonami z kwiatów.

R. St.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Od dr. Tomasza Rayskiego, przewodniczącego w komisji wydawnictw pamiątkowych, na uczczenie pięćdziesiątej rocznicy listopadowej, otrzymujemy następujący komunikat.

Pierwszy zeszyt „Zbioru pamiętników do historji powstania r. 1830 i 1831,“ wyjdzie d. 20. bm. i w drodze prenumeracyjnej będzie do nabycia w Księgarni Polskiej we Lwowie. Całe wydawnictwo obejmie 4 – 5 zeszytów, z których każdy będzie zawierał 10 arkuszy druku w wielkiej ósemce. Cena prenumeracyjna zeszytu wynosi złr. 1., jednak biorący pierwszy zeszyt złożą razem przedpłatę na ostatni, tj. 2 złr. Po wyjściu całego dzieła, cena księgarska o $1/3$ część będzie podwyższoną. Czysty dochód przeznaczony jest na wsparcie weteranów z r. 1831.

*** P. Bronisław Zamorski we Lwowie, wydał obszerne dwutomowe „Studjum dziejowe w pięćdziesiątą rocznicę powstania r. 1830“. Tom pierwszy zawiera: Pogląd ogólny na działalność narodu, po rozbiorze Polski, tom zaś drugi: Piętnaście lat bytu królestwa Polskiego. Ocenę tej pracy podamy później.

*** Pan Bruno Abakanowicz wydał w Warszawie pracę pt: „Integrator. Krzywa całkowa i jej zastosowania w mechanice budowniczej; z 20 drzeworytami w tekscie i 2 tablicami litografowanemi.“ Matematycy odzywają się o tej pracy z wysokiem uznaniem, i przepowiadają jej wielkie w nauce i praktyce zastosowanie.

*** W Warszawie wyszła z druku spora publikacja p. t. „Przypowieści, legendy i myśli z Talmudu i Midraszu“, spolszczone przez Dawida Rundo.

Jestto pierwsze tego rodzaju wydawnictwo w języku polskim.

P. R. wybrał z ksiąg świętych judaizmu przeważnie epizody, nacechowane pewną dążnością moralną i humanitarną.

W ogóle z układu książki widać, iż autor jej jest człowiekiem, przejętym zasadami tolerancji religijnej.

Forma dość staranna i poprawna.

W ogóle rzecz p. R. zasługuje ze wszech miar na rozpowszechnienie we właściwej sferze czytelników.

*** W Tarnowie, jako organ Oddziału Towarzystwa rybackiego, wychodzi dwutygodnik popularny p. t. „Przyrodnik,“ który z dniem 1. listopada rozpoczął drugi rok swego istnienia. Jest to pisemko dobrze rodagowane, podające prawdziwie popularne artykuliki o ptakach, owadach i rybach krajowych, oraz inne zajmujące wiadomości. Pisemko to, przystępne i użyteczne, zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

*** Macierz Polska ma być już z początkiem roku przyszłego ukonstytuowaną i rozpocząć czynności.

*** Towarzystwo Pedagogiczne wydawać ma „Bibljotekę dla dziatwy szkolnej“ jako premium dla szkół ludowych i średnich.

*** Na prace ziomków bywamy często obojętnymi, niechże nam wolno będzie wspomnieć o nich,

gdy się doczekały za granicą pochwalnego przyjęcia.

Przed laty Wojciech Cybulski wydał w Poznaniu dzieło w 2 tomach: »*Geschichte der polnischen Dichtkunst in der ersten Hälfte des laufenden Jahrhunderts*«.

Książka ta, o której u nas prawie nie pisano, obznajamia Europę z rozwojem naszej poezji.

Saturday Review, zapowiadając przekład jej na język angielski, umieszcza o niej pochwalne sprawozdanie (nr. 1.303), załączając wiadomości o życiu i pismach Cybulskiego.

Oprócz tego o pracach naszych dzienniki angielskie coraz częściej się odzywają.

W *Przeglądzie dwutygodniowym* znajdujemy pochlebną wzmiankę o pracy Tadeusza Zielińskiego pt: »*Die letzten Jahre des zweiten Punischen Krieges*«.

W *Atheneum* figuruje ocena ostatniej pracy Napelskiego: »*Leben und Werke Troubadours Penz de Capdouill*« wydanej w Halli.

Przegląd współczesny zawiera życiorys Marcinkowskiego, w którym dosyć obszernie rozbiera jego zasługi literackie i naukowe, podając w streszczeniu zawartość książek traktujących o Ukrainie.

⁂ Dzienniki francuskie zapowiadają nowy utwór Wiktoryna Sardou pod tytułem *Divorçons!* (Rozwiedźmy się!).

Komedję tę trzyaktową autor oddał teatrowi w *Palais Royal*, w którym zazwyczaj tylko krotochwile i lżejszego pokroju sztuki stanowią stały repertuar.

„Divorçons“ wszelako nie ma podobno nic wspólnego z farsą.

Kwestja małżeńska rozgrywa się tu między trzema osobami, zięciem, żoną i kochankiem, których role są główne i przedstawiają artystom szerokie pole do popisu...

Mnóstwo figur epizodycznych ożywiać ma tło tej najnowszej sztuki najpopularniejszego z współczesnych komedjopisarzy francuskich.

⁂ Dzieł Juljusza Bartoszewicza tom 8. stanowią „Studja historyczne i literackie“. Tom pierwszy, który zawiera: 1 Od Wydawcy, 2 Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka. 3. Stary poemat o Gdańsku. 4. Krystyna Poniatowska, Przyczynek do dziejów braci czeskich w Polsce. 5. O nuncjuszach w Polsce. 6. O dochodach króla Stanisława Augusta. 7. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 roku. 8. O nowem wydaniu sag skandynawskich. 9. Kniaź Kurbski na Wołyniu. 10. Summy neapolitańskie. 11. Kronika pałacu Krasińskich. 12. Podróż Regnarda po Polsce. 13. O biblii Reimskiej. 14 Mikołaj Jemiołowski, jako historyk.

Nauka.

⁂ W uniwersytecie krakowskim opróżnione wkrótce zostaną dwie katedry: fizyki matematycznej i doświadczalnej.

⁂ Profesor Adolf Pawiński, przebywający obecnie, jak już wzmiankowaliśmy, w Hiszpanji, znalazł w bibljotece madryckiej sporo ciekawych rękopismów o treści dotyczącej dziejów naszych. Z Madrytu udać się miał prof. P. do Simancas, gdzie znajduje się archiwum, w całej Hiszpanji najbogatsze. Następnie zamierzał zwiedzać archiwa w Alcala da Henares i wrócić do Madrytu, a ztamtąd zrobić wycieczkę do Korduby, Sewilli i Grenady.

⁂ Na skutek konkursu z 1877 r. nadesłano Towarz. Przyjaciół Nauk w Poznaniu „Pogląd na dzieje słowian zachodnich, północnych itd.“ przez dra Sieniawskiego (ogłoszony drukiem), Dzieje słowian bałtyckich i szląskich aż do zniemczenia“ (2 wolumina), „Walki Lechitów zachodnich z Teutonami,“ „Dzieje Słowian północno zachodnich“ (praca nieukończona jeszcze), Stosunki handlowe w Połobowszczyznie lechickiej do XIII wieku.

⁂ Prof. Samokwasow wydał w tych dniach rzecz w języku rosyjskim p. t. „Antropologiczne i archeologiczne materjały do epoki pogańskiej w granicach Królestwa.

⁂ *Konkurs Botaniczny.* Akademia nauk wiedeńska (sekcja matematyczna i nauk przyrodniczych) jako temat rozprawy dla uzyskania nagrody *Baumgartnera* w kwocie 1000 złr. wyznaczyła badanie mikroskopowe drewna roślin żywych i kopalnych. Przez takie badanie i porównanie wszystkich znanych drzew dzisiejszych i kopalnych pożądanem jest wykazanie pewnych cech, po których możnaby z preparatu mikroskopowego oznaczyć z pewnością rodzaj i gatunki. Prace mają być nadesłane przed 31. grudnia 1882 roku, a nagroda przyznaną zostanie na rocznem posiedzeniu akademi w 1888 roku.

Sztuki Piękne.

⁂ Matejko, pomimo uporczywej niedyspozycji, pracuje wciąż nad wykończeniem wielkiego obrazu „Hołd pruski“.

⁂ Na krakowską wystawę sztuk pięknych przybyły: Bieszczada „Chrzciny“ i „Pogrzeb“; Bolhara „Krajobrazy“ (akwarelle); Jacobiego „Jesień“; Pociechy „Portrety mężczyzn“ (kredą) i akwarella „Za miastem“. — Teofil Lenartowicz pracuje nad nowem rzeźbiarskiem dziełem „Dobry łotr“.

⁂ Na wystawę warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły obrazy: Karola Klopfera „Krajobraz“; Adolfa Malinowskiego „Przy zachodzie nad Wisłą“; N. Pane „Widok zacisza“; Ruśkiewicza „Z okolic Mrozów„; Teofila Godeckiego „Chrystus oddający klucze św. Piotrowi“ (płaskorzeźba).

⁂ Kompozytor Juljusz Massonet, twórca „Krola Lahory“, pracuje obecnie nad nową operą „Werther“, która w przyszłym roku wystawioną być ma w Operze komicznej francuskiej.

⁂ Towarzystwo muzyczne poznańskie ma się rozwiązać i połączyć z Kołem towarzyskiem.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Mówią, że lwowski metropolita grec. kat. Józefat Sembratowicz otrzymać ma wkrótce kapełusz kardynalski.

⁂ W Rzymie ukończony został projekt ustawy rozwodowej, mający być przedstawiony izbom; wypracowany on jest według zasad projektu, wniesionego przez zmarłego deputowanego Morelli.

⁂ Komitet polski w Chicago nadesłał do szląskich pism polskich odezwę, przestrzegającą lud przed fatalnemi skutkami dalszej emigracji do Ameryki.

⁂ Założone w 1875 r. Towarzystwo spożywcze lwowskie, po przebrnięciu początkowych trudności, dobrze się rozwija, posiada własną piekarnię, w której sprzedaje chleb o dwa centy taniej na bochenku, skład drzewa i węgla, składy kolonialne i układ z rzeźnikiem; liczy 455 członków; zysk czysty wynosi 2407 złr. (1879 r.) i członkowie postanowili udziały swoje zwiększyć z 10 na 50 złr.

⁂ Dodatki do cygar. Patentowany niedawno preparat dla nadania zapachu cygarom, składa się z rumu, wyskoku, eteru masłowego, bobu tonku, korzenia walerjanowego i opium. Wszystkie te miłe przyprawy przez usta palaczów przechodzić więc będą.

⁂ W Kijowie jest projekt utworzenia muzeum przemysłowo-technicznego, z oddaniem go pod nadzór istniejącego tam Towarzystwa technicznego.

⁂ Medycyna, prawoznawstwo i teologja mają w Stanach Zjednoczonych pokaźną liczbę przedstawicielek.

Pięćset trzydzieści dam, posiadających dyplomy lub świadectwa uwierzytelniające, oddają się praktycznej sztuce leczenia: czterysta dwadzieścia uprawia dentystykę, sześćdziesiąt ośm głosi z ambony słowo boże, a tylko pięć zajmuje się obroną w trybunałach sądowych.

Mimo całą elastyczność języka kobiecego, mimo przysłowiową ich bystrość i przenikliwość, praktyka sądowa zdaje się być najsłabszą stroną uczonych niewiast..

Odkrycia i wynalazki.

⁂ *Nagrody za nowe wynalazki.* Za sprawozdania dotyczącego nagród udzielonych przez rozmaite komitety biegłych na wystawie rolnictwa i owadów użytecznych i szkodliwych, odbytej tego lata w Paryżu dowiadujemy się, że w Hiszpanji utworzyło się stowarzyszenie dla hodowli jedwabnika dębowego, a ilość oprzędów zebranych przez nie wynosi około trzech miljonów sztuk. Specjalna machina do rozwijania tego gatunku jedwabnic była czynną przez cały czas trwania wystawy.

Przyznano medal wystawcy lampy specjalnie urządzonej dla chwytania owadów. W sprawozdaniu wspomniano, że toż samo doświadczenie możnaby wykonać i przy pomocy światła elektrycznego i przytoczono na dowód fakt następujący. Pewna liczba świateł elektrycznych w celu illuminacyjnym użytą była tego lata w ogrodzie wystawy w Meaux, w sąsiedztwie lasu Fontainebleau. Nie było żadnych przyrządów do łapania owadów, padały więc w około lamp z wyjątkiem tych, które znalazły przejście przez otwory regulatora. Liczba tych ostatnich była tak znaczna, że dwie z tych lamp umieszczonych na bufecie w kawiarni zdjąć musiano, wszycy bowiem goście okryci byli ćmami najrozmaitszego gatunku.

⁂ Telefon. Bardzo ciekawe doświadczenie z telefonami zrobiono w tych czasach w Szwajcarji podczas uroczystości dorocznej stowarzyszenia śpiewaków związkowych. W sali koncertowej w Zurychu umieszczono telefon, od którego dwa druty przewodnie szły do biura telegraficznego w Bazylei, gdzie zebrało się wiele osób. Odległość między Bazyleą a Zurychem wynosi 80 kilometrów (przeszło 11 mil naszych). Publiczność w Bazylei słyszała śpiew tak wyraźnie, jak gdyby znajdowała się na paradyzie w sali teatralnej. Po skończeniu chóru zadowolenie swoje objawiła oklaskami, które doskonale usłyszano w Zurychu.

ROZMAITOŚCI.

KAULLA - CISSEY.

Czytelnicy znają zapewne przebieg i naturę głośnego procesu, którego bohaterów położyliśmy nazwiska w tytule.

Proces ten stał się prawdziwą *cause célèbre* dla całej Europy; to też dzienniki rozmaitych narodów i języków prześcigają się w odszukiwaniu zajmujących szczegółów z życia głównych aktorów dramatu.

Podzielimy się z czytelnikami wiązanką takich szczegółów, odnoszących się do samej heroiny procesu, baronowej Kaulla, owej żony pana Junga, która spowodowała wystąpienie jego na drodze sądowej przeciw paryskiemu „królowi reporterów“, panu de Woestyne.

Baronowa Kaulla jest Niemką, rodem z Wirtembergji; rodzina jej w ojczystej Szwabji składa się z bankierów nadwornych, właścicieli dóbr itp. gra zatem w kraju wybitną rolę.

Ojciec dzisiejszej pani Jung posiadał znaczny majątek pod Ulmem, to też głośna dzisiaj córka bywała na balach ulmskich — co prawda, przed dwudziestu już blisko laty — otoczoną rojem wielbicieli królową.

W istocie miała być bardzo piękną; powab miała posiadać szatański, *une espèce de beauté du diable*...

Wszyscy u nóg jej leżeli, ale nikt się do serca nie podniósł; złośliwi twierdzili podówczas, jakoby chłód pięknej baronówny pochodził ztąd, iż kocha się w jakimś parobku wiejskim w dobrach jej ojca, Illertisen...

Siostra jej wyszła za mąż w Nicei, i tam to pani Jung poznała dzisiejszego swego małżonka, którego, jak wiemy, pewnego poranku opuściła, ażeby zabłysnąć na bulwarach — lwicą.

Co prawda, była dosyć szczęśliwą, bo nie każdej kobiecie szukającej zdarzy się znaleźć ministra wojny; pani Jung znalazła jenerała Cissey...

Liczy ona dzisiaj 42 lat, a w tym wieku dojrzałe kobiety podobno bywają najpowabniejsze, jeżeli są piękne...

Obecnie pani de Kaulla mieszka w Bayonnie; najęła tu willę Gaston, na drodze wiodącej do Biarritz.

Charakterystycznem jest to, iż na tym samym kawałku ziemi rozpoczęła dzisiejsza awanturnica niepokalane dni swego małżeństwa, tu przyszło na świat dwoje dzieci państwa Jungów, tu żyli niegdyś szczęśliwie oboje małżonkowie, ona czuwała nad dziećmi, on oddawał się pracy zawodu, będąc oficerem ordynansowym przy jenerale Decean, który zginął w jednej z pierwszych potyczek r. 1870.

W Bayonnie żyje dziś pani Kaulla bardzo cicho, kieruje sama faetonikiem, który świetnością nie przypomina sławnych jej faetonów w Baden-Baden, i mało przyjmuje wizyt...

Wysmukła jej kibić, którą niegdyś w lasku bulońskim cały świat podziwiał, dawno znikła; otyła bardzo silnie, czyli, jak mówi jeden z francuskich dzienników: *Madame de Kaulla est boulotte, très boulotte.*

W dniu, w którym przeczytano w Bayonnie szczegóły sensacyjnego procesu, pani de Kaulla pojechała wieczorem do teatru i z najobojętniejszym wyrazem twarzy przesiedziała w swojej loży przez całe widowisko...

Jako ilustrację do sprawy, która tak roznamiętniła Francuzów, okrywając hańbą zdrady i przekupstwa jednego z najgłośniejszych jenerałów armji tamtejszej, podać wypada list paryskiego korespondenta pewnej gazety berlińskiej do rochefortowskiego *Intransigeanta.*

Korespondent ów został niegdyś wydalony z Berlina przez ks. Bismarcka, Rochefort nazywa go też: »*correspondent d'un journal d'opposition à Berlin*«; list brzmi tak:

„Mniemam, że wyrządzę wam przysługę, jeżeli podam wiadomość o jednym fakcie, którego dotąd nie podniesiono w głośnej sprawie Kaulla-Cissey w Paryżu, podczas gdy za granicą jest on znanym.

„Przed rokiem niespełna p. B., korespondent wielkiego dziennika berlińskiego, którego podówczas odwiedziłem, opowiadał mi, że za pośrednictwem baronowej Kaulla Niemcy odprzedały napowrót Francji wszystkie chassepoty, zebrane bądźto na polach bitew, bądźto znalezione w arsenałach i twierdzach francuskich.

„Pewną jest rzeczą, iż niemieckie ministerjum wojny traktowało nie wprost z kochanką jenerała Cissey, ale z grupą kupców moguncкich; pani Kaulla grała przytem rolę faktorki, która przyniosła jej przeszło pół miljona franków w zyskn...

„Wiecie o tem, że p. B., jako poufnik poselstwa niemieckiego i barona Erlangera, musi być dobrze powiadomionym o przebiegu sprawy."

A teraz jeszcze nader najmujące szczegóły o innych bohaterach procesu, o zgubionym na imieniu jenerale Cissey i o Jungu...

Szczegóły te podaje Edmund About w dzienniku paryskim: *XIX Siecle.*

Jung jest najlepszym i najstarszym przyjacielem About'a; we foyer „Komedji francuskiej" spotkali się po raz pierwszy przed laty dwudziestu syn Marsa z głośnym pisarzem.

Jung, podówczas kapitan sztabu jeneralnego był, jako zapalony liberał, okrzyczanym przez naczelników swoich za potomka Frondy.

Na długo przed nieszczęsną datą roku 1870 Jung pisywał książki, broszury i memorjały, w których dowodnie wykazywał nędzny i zaniedbany stan armji francuskiej.

About poświęcił w roku 1866 Jungowi ładną swą nowellę: „Zęby turkosa", do której treść pisarzowi podał żołnierz.

Po złamaniu wierności przez panią Jung obadwaj przyjaciele spotkali się w Sawernie.

Ojciec Junga, żyjący w Strasburgu z pensji emerytalnej, jako były urzędnik ministerstwa wojny, tak mocno wziął do serca nieszczęście swojego syna, że wyskoczył przez okno i zabił się...

Jung oddał się w sumiennem poczuciu swojego obowiązku troskliwemu wychowaniu dzieci, przyczem nie zapominał o cenionych wysoko w kraju dziełach militarnej treści.

Podczas wybuchu wojny niemieckiej Mac-Mahon przechodził przez Savernę w drodze do Reichshofen.

Jung przedstawił marszałkowi swoje dzieci; ubóstwiany przedwcześnie bohater uściskał je serdecznie.

Ojciec ich zaszczytnie odznaczył się w wojnie; przeniósł on na sobie tysiąc grożących niebezpieczeństw, tak ze strony Prusaków jak i chłopów lotaryńskich, którzy pojmali go, uważając za szpiega pruskiego.

Wynagrodził mu te trudy Cissey!...

Z opowiadania Abouta pokazuje się niezbicie, że pani Kaulla miała nieograniczoną władzę nad sędziwym Donżuanem; Cissey na śledztwo zasługuje, nie za prostą zdradę kraju, ale za nadużycie władzy urzędowej.

Obydwa listy Cisseya, stwierdzające jego winę, a odczytane w procesie Junga z Woestynem, znał About oddawna.

Pani Jung nie wahała się użyć żadnego środka dla tem boleśniejszego zranienia swego opuszczonego małżonka.

Wdarła się ona za nieprawnem pozwoleniem Cisseya do szkoły wojskowej, w której uczył się jedenastoletni synek Junga, i podburzyła go tak na ojca, że chłopię pisało do ojca w te słowa:

„Powiedziano mi, że trzymasz mię w ukryciu, ale odtąd nie boję się już ciebie..."

Nie na tem kończyły się wszakże cierpienia i krzywdy Junga.

Hańbiące wieści, jakie rozeszły się o zyskach, które pani Jung wyniosła ze swego faktorstwa przy owem zakupnie karabinów, raniły go w samo serce, bo plamiły cześć jego charakteru żołnierskiego.

Żona, którą oskarzono o szpiegostwo i spekulacje przy liwerunkach armji, oparte na oszustwie i nadużyciu skarbu państwowego, była jego żoną — żoną francuskiego oficera...

Jung poniósł osobiście swoje żale i swoją krzywdę przed marszałka Mac-Mahona, oskarzając ministra wojny, a sędziwy prezydent rzeczypospolitej do łez był poruszony owem wspomnieniem z Sawerny.

Płakał — ale nie miał siły użyć surowości prawa przeciwko dawnemu towarzyszowi broni...

La camarederie de nos grands chefs est un fléau connu — mówi Edmund About.

Wtedy to Jung oddał się bezbrzeżnej rozpaczy; poważny ten, ascetyczny prawie człowiek przybiegł raz wieczorem do biura redakcyjnego Abouta, z miną prawdziwego szaleńca.

— Co mam zrobić? — zawołał — czy skończyć jak mój ojciec, czy szpadę wbić w tego nędznika Cisseya?!

About wyszedł z Jungiem na ulicę i chodził z nim do drugiej godziny w nocy po to tylko, ażeby go znużyć i osłabić wzruszenie.

XIX Siecle rozpoczął wtedy kampanję przeciw Cisseyowi, oszczędzając go wszakże, ze względu na honor armji francuskiej, wobec opinji zagranicy.

Wpływowym wszakże osobom dostarczono wszelkich dat, których nie można było w świat puszczać otwarcie, i po kilku tygodniach wiedział cały senat i cały parlament o prywatnych handelkach Cisseya, za pośrednictwem pani Jung-Kaulla.

Pewnego dnia musiały i Mac-Mahonowi otworzyć się oczy na niemożliwość utrzymania Cissey'a.

Cissey dowiedział się o swej dymisji dopiero z *Journal officiel.*

Dotąd About.

Tymczasem jenerał Cissey, który jest w tej chwili przedmiotem pogardy całej prasy francuskiej, pozwał przed sądy Rocheforta i deputowanego Laisanta o oszczerstwo, w prasie zaś *Gaulois* broni jego upadłej sprawy.

A więc proces Woestyne'a z Jungiem nie zamknął tej sprawy tak smutnej dla honoru broni francuskiej.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim" zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego" we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 46. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.